

TADEUSZ DOŁĘGA-
MOSTOWICZ

**DR. MUREK
ZREDUKOWANY**

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Dr. Murek zredukowany

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843118

Dr. Murek zredukowany:

Аннотация

Trzydziestoletni Franciszek Murek, urzędnik w powiatowym magistracie, ma wszelkie powody do zadowolenia – udało mu się, mimo chłopskiego pochodzenia, zostać doktorem praw, ma dobrą pracę i piękną narzeczoną z wyższych sfer, Nirę Horzeńską. Nie ma tylko talentu do intryg, co mści się w sposób niespodziewany. Murek przekonuje się, że brak politycznej przeszłości, to jeszcze nie powód, by nie zostać za nią zwolnionym, a wrodzona uczciwość częściej stanowi przeszkodę niż atut. Gdy droga z powrotem na szczyt zostaje przed nim zamknięta, Murkowi pozostaje tylko podróż w dół drabiny społecznej. Po katastrofalnym w skutkach romansie ze służącą, przyjeżdża do Warszawy. Przed nim wiele rozczarowań i zaskoczeń. Będzie śmieciarzem i bezdomnym, pozna prawdziwe oblicze Niry, barwny warszawski półświatek i stanie oko w oko z własnymi słabościami. Losy doktora Murka trafiły dwukrotnie na srebrny ekran – w 1939 roku powstał film *Doktor Murek*, a w 1979 serial *Doktor Murek*.

Содержание

Rozdział I	4
Rozdział II	61
Конец ознакомительного фрагмента.	109

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Dr. Murek zredukowany

Rozdział I

Doktor Murek stanowczym gestem złożył papiery i wstał. Dalszą rozmowę uważał za stratę czasu, a zresztą z trudem panował nad nerwami.

– Pan wybaczy – rozłożył ręce – ale ustawa o samorządzie nie przewiduje tu najmniejszych wyjątków. Przetarg będzie ogłoszony w połowie października i cieszyłbym się, gdyby pańska oferta zyskała pierwsze miejsce.

Mówił nieprawdę i nawet nie próbował tych konwencjonalnych słów osłodzić uprzejmością tonu. Cieszyłby się właśnie z porażki Junoszyca. W tej chwili nienawidził go całą duszą. Z jakąż rozkoszą cisnąłby mu w ten uśmiechnięty pysk jego papierami, listami polecającymi i tą elegancką teczką, pokrytą monogramami, koronami, herbami.

I to wcale nie za obrzydliwy ton Junoszyca wobec panny Horzeńskiej. Prostu dlatego, że w Junoszycu czuł aferzystę, że jego spokojny cynizm i nonszalanckie manjery pomimo wszystko były poprawne. Że lekceważenie, z jakim się odnosił do niego, do doktora Murka, zawierało jednak wszelkie pozory szacunku.

I teraz z całą swobodą, Junoszyca poprawił się na fotelu:

– Chwileczkę, panie doktorze, – zaczął swoim niskim, dźwięcznym głosem, z salonowym uśmiechem, jakby nie zauważył urzędowego tonu Murka – chwileczkę. Przykro mi, że pana zatrzymuję, jednakże sądzę, że znajdziemy jakieś wygodne wyjście z sytuacji. Towarzystwo Asfaltowe...

Murek zaciał zęby i usiadł. Ten człowiek miał nad nim jakąś niezrozumiałą przewagę, chociaż był tylko interesantem, petentem, gorzej, bo petentem w przegranej sprawie. Dr. Murek nietylko nie chciał, lecz i nie mógł, nie miał prawa załatwić prośby Junoszyca. Byłoby to z wyraźną szkodą miasta. Równałoby się to oddaniu monopolu na bruki i kanalizację Spółce Asfaltowej na lat dziesięć. Podobne zaś obciążenie zwałiby budżet większych miast, jak Białystok, Wilno, czy Kraków, a cóż dopiero mówić o tutejszym budżecie... Rzeczą była przesądzona w oczach Murka już od samego początku. Wprawdzie zacny prezydent Niewiarowicz, oddając Murkowi sprawę Junoszyca, jak i wszystkie ważniejsze sprawy gospodarcze, wyraził nadzieję, że „kochany nasz doktor potraktuje rzecz po ojcowsku”, ale Niewiarowicz sam później musiał przyznać rację Murkowi, jeszcze mu dziękował za ustrzeżenie magistratu od fatalnej gaffy.

Dlatego dr. Murek nie zadawał teraz sobie wogóle trudu wsłuchiwania się w misterną argumentację Junoszyca. Myślał o jednym: jutro ten typ nie będzie już miał w mieście nic do roboty i wyjedzie do Warszawy. Przystanie eksponować się w

restauracji Wiechowskiego i w Klubie Urzędniczym, przestanie szastać się po ulicach swoim czerwonym Mercedese, no, i przesiadywać u Horzeńskich.

Jak on wogóle śmiał do panny Niry mówić per „brawurowa dziewczyna”!... A w ubiegły piątek posunął się do bezczelności, by jemu, narzeczonemu, z niedbałą miną powiedzieć:

– O, na tę dziurę Nira jest wręcz oszołamiająca.

I co miało znaczyć owo „na tę dziurę”? Przecież Junoszyca spotykał ją dawniej w Warszawie...

Murek zwięził powieki i wpatrywał się z nienawiścią w nieznacznie poruszające się wargi Junoszyca. Tak, musiał mu przyznać urodę. Te szerokie ramiona, kształtna głowa i twarz jak maska, jak maska poprawności. Z pod maski przeświecają tylko oczy, jego oczy: zimne, przebiegłe, wstrętne. I te usta... Jest w nich coś bezwstydnego, a te zęby, oczywiście sztuczne. Nie można chyba do niemal pięćdziesięciu lat zachować takich zębów.

– Mógłby być moim ojcem – przemknęło Murkowi przez głowę – jest stary.

I zaraz zaczął obliczać, że Nira przed trzema laty, kiedy bawiła przez całą zimę w Warszawie, nie była jeszcze pełnoletnia. A Junoszyca musiał mieć wówczas conajmniej czterdzieści pięć... Nonsens. Ale wczoraj w klubie wojewodzina – a taka dama musi się znać na tych rzeczach – powiedziała głośno:

– Pan Junoszyca może się bardzo podobać!...

I ta łatwość, z jaką wkręcił się odrazu do najlepszego tutejszego towarzystwa. Z samym wojewodą rozmawiał jak z równym, wepchnął się na polowanie do państwa Duksztów, obwoził po mieście generałową Zagajską, prezydenta Niewiarowicza omal że klepał po ramieniu. W niespełna dwa tygodnie! A u państwa Horzeńskich zachowywał się niczem we własnym domu.

Murek, chociaż od roku już tu mieszkał, chociaż zajmował w magistracie poważne stanowisko, a właściwie był prawą ręką prezydenta, do dziś dnia nie czuł się w sferze, w której się obracał, ani tak swobodnie, ani tak dobrze. Było to nad wyraz przykre, ale nawet w stosunku do Niry, nie umiał zdobyć się na taką zażyłość, do jakiej upoważniał go sam fakt narzeczeństwa. Zwłaszcza w obecności Junoszyca czuł się stremowany i pożerała go bezmyślna zazdrość.

A już w ostatnich dniach z trudem panował nad nerwami. W związku z przyjazdem radcy ministerjalnego na inspekcję, nie dosypiał, pracował od rana do późnej nocy, obiady jadał w biurze. Dwoił się i troił. Nie dla siebie zresztą. Chodziło mu o wykazanie, że przedmiot skarg i denuncjacyj, którymi klika starosty Bożymka zasypywała ministerstwo, że ów rzekomo horendalny chaos, wprowadzony w gospodarce miejskiej przez prezydenta Niewiarowicza, jest czczym wymysłem. Wprawdzie przed zainstalowaniem się Murka w magistracie nie wszystko było w porządku, ale dopatrzenie się w tem złej woli tak zacnego i nieszkodliwego człowieka, jak Niewiarowicz, zakrawało

na świadome oszczerstwo. Właśnie przez swoją zacność, przez miękkość i trochę przez umiarkowane próżniactwo, Niewiarowicz dopuścił do niejakiogo rozprężenia w zarządzie miejskim. Ale wszystko dało się naprawić. Radca Gąsowski nie mógł znaleźć najmniejszego mankamentu, a dr. Murek rósł we własnych oczach, widząc coraz życzliwszy stosunek ministerjalnego kontrolera do Niewiarowicza.

Rósł tem wyżej, że przecie nielada pokusę przełamał w sobie. Cóż byłoby łatwiejszego, jak wykorzystanie sytuacji dla własnej kariery. Wystarczało pozostawić Niewiarowicza samemu sobie. Dać mu nieuniknioną sposobność do kompromitacji, do wykazania nieznamomości stanu faktycznego. A jednocześnie popisać się własnymi zasługami. Bynajmniej nie zmyślonemi, a tak oczywistemi, że jeżeli nie poszedłby odrazu w górę, chociażby na stanowisko Niewiarowicza, byłoby to conajmniej dziwne.

Wyrzeczenie się tej sposobności nie przyszło wszakże Murkowi zbyt trudno. Brzydziłby się sobą. Miał widocznie wrodzony wstręt do intryg, do zakulisowej gry, do podstawiania nogi tym, którzy się chwieją, a którym tak, jak Niewiarowiczowi, winien był bądź co bądź wdzięczność. Dlatego starał się wogóle nie pokazywać się kontrolerowi, usuwał się w cień. W mieście i tak wiedziano o jego wartości i roli w magistracie, prezydent również go doceniał, a na dalszą karierę, na szerszą arenę, dr. Murek miał czas. Liczył sobie zaledwie lat trzydzieści.

Zresztą, było mu dobrze z tem, do czego już doszedł,

a zbyt wysoko cenił dotychczasowe etapy, moralnie i zasłużenie osiągnane szczeble przebytej drogi, by nie mieć automatycznego wstrętu do jakichkolwiek skoków, których efekt nawet pozytywny, podważyłby przede wszystkim jego wiarę w słusność i solidność obranej drogi.

Taki na przykład Junoszyca, tak zwany człowiek interesu, a w rzeczywistości – Murek nie wątpił o tem – zwykły aferzysta, żyjący z dnia na dzień, był dla Murka nie tylko czemś zakłócającem uporządkowany obraz struktury społecznej, lecz wręcz grasantem, którego należałoby zamknąć, lub przynajmniej wysiedlić. Jest coś niesprawiedliwego w tem, że taki osobnik, właśnie taki osobnik, może cieszyć się powodzeniem, połyskiwać wielkim brylantem w pierścionku i rozwalać się na fotelu w jasnym i zapewne kosztownym ubraniu w wyzywającą kratę...

– Więc jakże, doktorze, – doleciały do świadomości Murka słowa Junoszyca. – Dojdziemy do porozumienia?

– Nie, panie – odpowiedział stanowczo. – To jest wykluczone.

– Jednakże... pan prezydent...

– Pan prezydent już moją decyzję zaakceptował.

Junoszyca wstał:

– Szkoda – zaśmiał się swobodnie. – No, cóż... Może będziemy jeszcze żałować takiego rezultatu naszej znajomości.

Murek lekko wzruszył ramionami i nacisnął guzik dzwonka...

W progu stanął woźny i niepytany, zameldował:

– Jeszcze jest pięć osób, panie naczelniku.

Junoszcyc niedbałym ruchem wyciągnął do Murka rękę:

– Zapewne spotkamy się jeszcze. Dowidzenia panu.

– Dowidzenia panu.

Gdy już był za drzwiami, Murek przypomniał sobie, że należało go wybadać, kiedy wyjeżdża. W tem powiedzeniu „Będziemy żałować”, oczywiście, była groźba. Łajdak! Napewno myślał o Nirze. W oczach takiego łotra, każda kobieta jest do zdobycia. Niechże i tu dozna zawodu.

– Tego jestem pewien – powiedział głośno i powtórzył: – Najzupełniej pewien.

Jednak nie był pewien. Napróżno skupiał uwagę, by wysłuchać pretensyj kupca Hofnagla do kierownictwa rzeźni. Innych interesantów też zbył odłożeniem rozmowy na przyszły tydzień. Tymczasem przez biurko przesuwwały się codzienne bieżące sprawy. Było ich więcej, niż zwykle, gdyż Niewiarowicz i Talkowski na ten dzień przekazali mu swoje. Obwozili od rana radcę Gąsowskiego po wszystkich instytucjach miejskich. O drugiej w klubie będzie pożegnalne śniadanie. Murek miał też wziąć w tem udział, lecz pomimo namów Niewiarowicza, postanowił nie iść. I tak musiał ktoś przecie zostać w magistracie, a zaległości Murek nie cierpiał. Pozatem przewidywał, że Junoszcyc wkręci się na śniadanie. Z jego tupetem!...

Przed samą trzecią, zadzwonił do państwa Horzeńskich i dowiedział się, że Nira wyszła na spacer.

Pani Horzeńska oświadczyła, że sama odradzała córce i dodała:

– Niechże drogi pan sam jej za to da burę. Nie zapomniał pan o dzisiejszej kolacji? Czekamy.

Położyła słuchawkę. Zabawna! Czy zapomniał! Od trzech dni o niczem innym nie myślał. Wiedział, że po takiej kolacji w rodzinnem gronie zostawią go sam na sam z narzeczoną, że będzie mógł wyczuwać jej oczy i usta, i włosy... Może ubierze się w suknię bez rękawów... Wówczas dotyk jej nagich rąk na szyi, na karku... I rozmowa, bez świadków, taka zupełnie inna. O, w tych, niestety, bardzo rzadkich chwilach opadały zeń wszelkie obawy, wszelkie podejrzenia. Jej chłód, niemal wyniosłość, z jaką odnosiła się doń przy ludziach, zdawał się wtedy uzasadniony i nieważny, choć tak go przerażał.

Nie był bynajmniej przekonany, o szczerości pana Horzeńskiego i jego żony. Ich serdeczność, jeżeli nie polegała wyłącznie na przestrzeganiu form towarzyskich, miała zapewne podłoże wyrachowania. Bądź co bądź, wydawali córkę za człowieka porządnego, wykształconego, zajmującego poważne stanowisko. Za człowieka, który rozporządza wcale nie bylejakim dochodem i w dodatku ma przed sobą nienajgorsze perspektywy. Na początku znajomości starzy Horzeńscy, liczyli prawdopodobnie i na Fastówkę. W ich fatalnem położeniu finansowem zakupienie tego przylegającego do miasta folwarku przez magistrat, lub przebicie ulic i kanalizacji w tamtym kierunku, było zbawieniem. Zapewne spodziewali się, że Murek żeniąc się z ich córką, przeprowadzi w magistracie tę sprawę, że będzie wolał tanie morgi teściów zamienić na metry, na drogie

place, niż przygotować się na to, że wcześniej lub później trzeba będzie rodzinę żony utrzymywać z własnej pensji.

Dr. Murek wolał jednak tę drugą ewentualność. Rozplanowanie miasta w kierunku błotnistej i malarycznej Fastówki byłoby – w jego pojęciu – nadużyciem, do którego nie był zdolny i tak rzecz postawił odrazu.

Sama Nira nie interesowała się tem wcale i Murek był przeświadczony, że w żadnym razie w ich wzajemnym uczuciu motyw finansowy nie odgrywa żadnej roli. Więcej. Już w samym fakcie, że ona, nosząc nazwisko Horzeńskich nie wolna od różnych kastowych przesądów i snobizmów, zdecydowała się na małżeństwo z synem prostego chłopca – już w tem była gwarancja wartości jej uczuć. Kochała go niewątpliwie. Oczywiście, po swojemu i zapewne nie tak bezgranicznie, jak on ją kochał, zapewne w jej miłości było więcej rozwagi i spokoju, niż onby tego pragnął, lecz dość, by mógł być pewny tej miłości.

Dr. Murek odłożył pióro i zamyślił się. W gabinecie aż dzwoniła cisza. Tylko gdzieś w odległym korytarzu słychać było tupot szybkich kroków. Godziny urzędowe skończone. Wstał i powoli zamykał szuflady biurka, później szafy z aktami, poprawił nogą zgięty róg łowickiego kilimu i uchylił okno. Deszcz zmieszany ze śniegiem, siekł ukośnie, w dalekiej perspektywie ulicy Kraszewskiego jarzyła się neonowa reklama kina Glorja. Lamy w cukierni Kesła naprzeciw świeciły blado. Latarni jeszcze nie zapalono. Przesunięcie o kwadrans pory latarni dało w elektrowni przeszło dwanaście tysięcy oszczędności...

Odwrócił głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się z upodobaniem graficznym wykazom, rozwieszonym na ścianach. Tu jak na dłoni uwidoczniły się skutki jego, jego własnej pracy.

Przyszedł tu przed rokiem, nieznany, obojętny, ot, zwykły urzędnik kontraktowy, którego dyplom i świadectwa były nieco lepsze od kwalifikacyj innych kandydatów. Dziś zaś... Pomimo dużej dozy skromności, wiedział, że jest, że potrafił stać się niezastąpionym...

Przed ratuszem zawarczał motor magistrackiego Forda, trzasnęły drzwi na dole. Prezydent Niewiarowicz wrócił. Widocznie śniadanie skończone.

Dr. Murek strzepnął z rękawa jakąś nitkę, poprawił krawat i otworzył drzwi. Do gabinetu prezydenta przechodziło się przez buchalterję, przez salę wydziału wojskowego, pokoi sekretarza i poczekalnię. Wszędzie było już pusto, tylko w wojskowym siedział Jarnuszkowski i na rozłożonych ewidencjach robił papierosy.

Niewiarowicz był już u siebie. W gabinecie, jak zwykle, zapalił wszystkie światła, że aż raziło w oczy.

– U pana prezydenta – zaczął żartobliwie Murek – zawsze jasno, jak w sali operacyjnej.

Niewiarowicz zerknął nań spod grzebieniowatych czarnych brwi, chrząknął i lewą ręką pomacał się po gładko wygolonym podbródku. Jak po każdym przyjęciu, miał trochę zaczerwieniony nos i jeszcze puszystszą strzechę siwych włosów.

– Jakże się odbył bankiet? – zapytał Murek.

Spodziewał się barwnego i dowcipnego sprawozdania, paru złościwości pod adresem starosty i generała Zagajskiego, no, i dokładnego rejestru potraw.

Niewiarowicz jednak mruknął niechętnie:

– Tak sobie.

– Wojewody nie było?

– Był.

– Miał przecież wizytować błotowicki powiat?

Niewiarowicz wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. To już zastanowiło Murka:

– Pan prezydent miał może jakieś przykrości?

– Ja?... Cóż znowu – niepewnym tonem mruknął prezydent i nagle zirytował się: – A cóż to panu przyszło do głowy indagować mnie? He?

– Ależ, panie prezydencie?!... Ja wcale...

– Przykro mi, lecz muszę panu, panie doktorze, zwrócić uwagę, że wtrąca się pan do spraw, które nie mają nic wspólnego z pańskimi obowiązkami urzędowymi. Tak! Właśnie to chciałem podkreślić.

Sapał i marszczył brwi, wreszcie zerwał się i zaczął chodzić po pokoju.

Murek szeroko otworzył oczy. Odkąd znali się, odkąd pracował z Niewiarowiczem, z tym człowiekiem życzliwym, grzecznym i lojalnym, nie słyszał od niego ani takiego tonu, ani takich słów. Lubił go właśnie za tę dobroć, za gładkość obejścia, za zgodność usposobienia, która często – niestety – posuwała

się aż do ustępstw nieliczących z prezydencką powagą. Pomimo to cenił go, jako szefa, zachwycał się nim, jako rzeczywiście wspaniałym mówcą: żadna uroczystość w mieście nie obyła się i obyć się nie mogła bez mowy Niewiarowicza. Umiał wzniecać entuzjazm, rozweselać, a nawet wyciskać łzy z oczu słuchaczy, a chociaż trochę przeciągał dawnym petersburskim akcentem i zrzadka posługiwał się rusycyzmami, wynagradzał to dynamiką głosu, szlachetnością urody i szczerością wyrazu. Czynny, ruchliwy, należał do wszelkich związków i stowarzyszeń, nie cierpiał samotności, prowadził wraz z żoną dom szeroko otwarty, bridżujący, tańczący, zawsze gotowy na przyjęcie gości.

– Trzeba żyć z ludźmi – lubił życzliwie pouczać Murka – ty ludziom, ludzie tobie. Tak! Tak, mój doktorze!

Sam też wprowadził Murka do miejscowego towarzystwa, lansował go, chwalił, reklamował, ba, obiecywał szczególniejszą protekcję w Warszawie. Murek zaś wiedział, że obietnice te nie są gołosłowne, brat bowiem Niewiarowicza zajmował w stolicy wpływowe stanowisko, a chociaż umarł przed pięciu miesiącami, zostawił podobno niemięcej wpływowych przyjaciół. Sam Niewiarowicz właśnie bratu zawdzięczał swoje prezydentwo, wysokie pobory, reprezentacyjne mieszkanie i stanowisko, po wojewodzie pierwsze w mieście. Na swoją popularność już sam zarobił i szczyił się często, że nie ma wrogów. Bo nawet i starosta Bożymek, chociaż usiłował wysadzić go z siodła, nie robił tego przez niechęć do Niewiarowicza, lecz w nadziei, że na opróżnione miejsce zdoła wsadzić swego szwagra.

Ta podjazdowa wojna truła nieco życie prezydentowi, nie o tyle jednak, by stracił dobry humor, by nie czuł się szczęśliwy, pływając w swoich znajomościach, przyjaźniach, stosunkach, nurzając się w życiu towarzyskiem, politycznym i społecznym.

I ten człowiek, który nieraz przerywał Murkowi pracę i ciągnął go do swego gabinetu na pogawędkę, teraz przyjmował go, jak natręta.

– Czy pan jeszcze czego chce odemnie? – zapytał niecierpliwie, widocznie poirytowany długim milczeniem zaskoczonego Murka.

– Nie, panie prezydencie, tylko doprawdy nie wiem, czy może nieświadomie uraziłem czemś pana prezydenta?

Niewiarowicz spojrział nań zukosa i chrząknął:

– Nie, cóż znowu... Skądże... Tak... Skądże...

Był widocznie zakłopotany.

– Bo może – przemknęła Murkowi myśl – może pan nie jest zadowolony, że odrzuciłem... ofertę Junoszyca... Ale to nie wytrzymało żadnej kalkulacji...

Niewiarowicz zachnął się:

– Ależ naturalnie. Bardzo słusznie pan zrobił. Tak! Ten cały Junoszyca... To wogóle jakaś nieciekawa, zdaje się, figura. Cóż znowu doktor mi z tem... wyjeżdża. Nie, pod względem uczciwości nie mam panu nic do zarzucenia!

Murek nie odrazu odnalazł sens ostatniego zdania. Połapał się jednak po chwili i zapytał wprost:

– A pod jakim?...

– Co za „pod jakim”?... – zdetonował się Niewiarowicz.

– Pod jakim względem pan prezydent ma przeciw mnie zarzuty?

Niewiarowicz otworzył usta, zakaszał i niespodziewanie zaśmiał się jakimś nieszczerym, nie własnym śmiechem:

– Co pan, doktorze... che... che... che... Ja... zarzuty?... I nie nudźże mnie do licha – zniecierpliwił się znowu. – Co pan wogóle o tej porze robi w biurze?

– Podliczałem sprawozdania szpitala i wydziału opałowego – nie ukrywając zdumienia odpowiedział Murek.

Prezydent podniósł ręce:

– Otóż właśnie. Zawiele ma pan roboty... Tak. Oddawna myślałem o tem... Niech pan zaraz jutro zda Lassocie te dawne jego referaty, a rzeźnię i elektrownię Kubinowskiemu. Tak! Wystarczą panu wodociągi, kanalizacja i bruki. No, co się pan na mnie patrzy, jakbym panu ojca zamordował? To jest niepodobieństwo, żeby pan był całym magistratem! Poczóż tu w takim razie ja, poco inni?...

Zaperzył się i prawie krzyczał. Murek przyglądał mu się przestraszony. Nie umiał sobie wytłomaczyć inaczej zachowania się szefa, jak tylko nadmiarem alkoholu.

– Jutro wszystko odwoła – myślał – i jeszcze przeprosi.

Lecz Niewiarowicz nie wyglądał na pijanego, co więcej, robił wrażenie kogoś wysiłającego się na gburowatość. W każdym razie nie było sensu przedłużania rozmowy. Murek skłonił się i, mruknąwszy „dowidzenia panu prezydentowi”, wyszedł.

W ponurym nastroju wracał do domu. Dopiero skręciwszy w Parkową podniósł mokry już kołnierz palta. Pani Rzepecka, u której mieszkał, otworzyła mu drzwi i od progu zasypała narzekaniami na pogodę, na zabłocone ulice, na przeciekający dach, na polski klimat i na własny los, który kazał jej, córce austriackiego ambasadora w Rzymie i wdowie po wielkim uczonym, mieszkać w prowincjonalnej dziurze, w wojewódzkim mieście, gdzie wyższej kultury niema za grosz.

Z tym ambasadorem, Murek oswoił się już oddawna, w jednym z dwóch odnajmowanych od pani Rzepeckiej pokoiów wisiał jego wspaniały portret w złoconych ramach, olśniewający orderami, galonami i wstęgami. Nieboszczyk profesor Rzepecki, jako mniej reprezentacyjny, patronował w jadalni i wspominany był rzadziej. Nie uchroniło to Murka od przymusu przeczytania jego dzieł, a właściwie podręczników z zoologii paleontologicznej.

Swojej gospodyni Murek nie lubił. Oburzała go ta ślepa nienawiść do wszystkiego, co nie było przeszłością, pogarda dla terażniejszości, dla dzisiejszych warunków bytowania, ustroju, zwyczajów i układu społecznego, to jest dla wszystkiego tego, czemu, on, dr. Murek, zawdzięczał to, czym był, w czym zajmował określoną pozycję.

Owe barwne i piękne przedwojenne czasy pani Rzepeckiej dla niego były mglistem, ale dojmująco bolesnem wspomnieniem starego zaharowanego ojca, układającego się na brudnym tapczanie do snu w wyleniałym kożuchu; zielonych

bagiennych wygonów, gdzie paść gęsi; maleńkich ze starości wielokolorowych i zarośniętych kurzem szybek w kwadratowych okienkach; kup gnoju pod chlewem i przeraźliwego krzyku matki, chorej, odkąd mógł zapamiętać, na kolki we wnętrzu.

Takie były te „stare dobre czasy”. Wąsaty żandarm austriacki, pan dziedzic, wielki, tłusty i ochrypli, siedzący na szerokozadej klaczy i połyskujący cholewami, ksiądz proboszcz, zawzięcie targający za uszy wszystkich rówieśników Murka, może jeszcze i pan leśniczy Mizerko z długą strzelbą, przerzuconą na wyszywanym w kwiaty rzemieniu – możni tego świata – ci zapewne czuli się dobrze. Bał się ich bardziej, niż ojciec, chociaż nie umiał jeszcze tak, jak on, ich nienawidzić.

Kilka razy próbował przekonać panią Rzepecką, że w kim, jak w kim, a w nim, w doktorze Murku, nie znajdzie współtowarzysza w żałobnych trenach nad grobem przeszłości. Zdawała się nie rozumieć jego wyjaśnień, chociaż wiedziała, że pochodzi z chłopów i że swoje wykształcenie, pozycję i wychowanie zawdzięcza przypadkowi.

Marzył też o dniu, kiedy wreszcie stąd się wyprowadzi. Upatrzył już sobie ładne, sześciopokojowe mieszkanie w domu Fajncyna na Zagajskiej. Wpłacenie zadatku odkładał do dnia ustalenia daty ślubu. Panna Nira na kilkakrotne propozycje, by zechciała zobaczyć ich przyszłe „gniazdko”, zawsze odpowiadała odmownie. Nie wtrącała się też w kwestje, związane z urządzeniem mieszkania. Na życzenie pani Horzeńskiej miała tam pójść część mebli z dworu w Czołnach. Właściwie meble

te już należały do Murka, gdyż wykupił je u komornika od zajęcia. Tylko buduar z różowego mahoniu i palisandrowy gabinet zamówił u miejscowych stolarzy, oczywiście na raty, gdyż niewielkie swoje oszczędności chował na koszty ślubu i wesela.

Odkładanie decyzji w tej sprawie martwiło i irytowało Murka. Minęły już trzy miesiące od czasu, gdy oświadczył się i został przyjęty. Nie urządzono wprawdzie, wbrew nadziejom Murka, oficjalnych zaręczyn, lecz i tak całe miasto o tem wiedziało. Spotykanie znajomi nie omijali żadnej sposobności, by nagabywać narzeczonego pytaniami o dzień ślubu. Murkowi zaś, im dłużej to trwało, tem częściej zdawało się, że w pytaniach czuje nutkę niedowierzania, czy nawet ironji.

Zresztą, gdyby od niego to zależało, wziąłby ślub natychmiast. Gdy już raz postanowił się ożenić, z dnia na dzień obrzydło mu jego kawalerstwo, samotność, obiady w Urzędniczym Klubie, kolacje u Wiecheckiego, pani Rzepecka z jej ambasadorem i tandetnie umeblowane dwa pokoiki.

Spędzał w domu jaknajmniej czasu. Nocował, a zrzadka wpadał, by zmienić ubranie, lub obuwie. Wyobraźnią oddawna był już na Zagajskiej. Układał porządek dnia, wiedział, że każdą wolną od pracy chwilę będzie spędzał przy niej. Tak, wtedy szybko pozna ją do gruntu, zwiąże z własnem życiem, odseparuje od całego jej dzisiejszego świata. Zdawał sobie sprawę, że dotychczas nie przestał być dla Nirry obcym, nie zdołał opanować jej myśli, zająć centralnego punktu w jej dniu. Nieraz,

w chwilach przygnębienia mówił jej z goryczą:

– Pani jest dla mnie treścią i celem, ja zaś dla pani tylko ewentualnością, ewentualnym warjantem jutra.

Znalazł to zdanie w jakiejś niemieckiej powieści – pełno ich było w szafach pani Rzepeckiej – i bardzo mu się podobało. Dopatrywał się w niem tragicznego napięcia.

A ona uśmiechała się tajemniczo, opuszczała swoje długie, ciemne rzęsy, aż rzucały cienie na policzki, i mówiła:

– Jeżeli jest tak, muszę uważać pana za szaleńca.

– A jest tak właśnie? – pytał z niepokojem.

– Podobno prawdziwy mężczyzna najbardziej pragnie niebezpieczeństwa – odpowiadała wieloznacznie.

Po takich rozmowach dr. Murek nieraz godzinami leżał w ciemnym pokoju, rozważając każde słowo, przypominając każdy ruch jej głowy, każde spojrzenie. Przerazał się wówczas, swoją bezradnością wobec tej dziewczyny. Właściwie mówiąc, nic o niej nie wiedział. Była dlań wielką ciemnością, czy też wielką jasnością, przed którą stawał oślepy. Rozsądek podsuwał mu wygodne wytłomaczenie: jej pańskie wychowanie, owa sztuka, która banalnością słów, konwencją form, rytuałem zdawkowości opancerza człowieka i ubezpiecza jego istotę od badawczych spojrzeń, od przenikania nazewnątrz ech tego, co się w jego duszy dzieje.

Ale intuicja, a tę dr. Murek miał niemniej wrażliwą, nie dawała się zaspokoić tem jednym. Intuicja domagała się wstępu poza ów giętki a nieustępliwy pancerz konwencjonalnych

formulek, przeczuwając za nim drugą i beznadziejną zaporę: – obojętność.

Dr. Murek nie chciał słuchać głosu tych zwątpień. Kochał, a jego miłość, jak każda miłość prawdziwa, pełna była wiary. Chciał Nirę rozumieć, lecz nie chciał jej analizować, chciał ją znać, lecz nie pragnął szperania w jej duszy, w jej życiu, ani nawet w jej przeszłości. Kochał ją tem prostem, silnem uczuciem, które nie tylko nie zaludnia wyobraźni potworkami trujących pytań, lecz gotowe jest do bohaterskiego optymizmu.

Widywał się z narzeczoną trzy, lub cztery razy na tydzień, zawsze w domu jej rodziców, lub zrzadka na przyjęciach u Niewiarowicza, wojewody, czy też u prezesa Sądu, Tołubińskiego. Nira bywała pozatem u swoich ciotek, krewnych i znajomych w pobliskich majątkach, ale Murek tam nie był zapraszany.

Państwo Horzeńscy mieszkali przy Wielkiej, gdzie stała ich, a właściwie babki Horzeńskiej, willa, jedyna część pokaźnego kiedyś majątku, wolna od ciężaru hipotek, banków i prywatnych wierzycieli.

Leżące o dwadzieścia dwa kilometry od miasta Czołny, puszczone były w długoletnią dzierżawę i tylko obrotności dzierżawcy zawdzięczały to, że jeszcze nie poszły na licytację. Pan Horzeński już oddawna machnął na ten majątek ręką, a liczył tylko na jakiś pomyślniejszy obrót sprawy z niedużym folwarkiem Fastówką.

Do miasta przenieśli się już przed dwoma laty przez wzgląd

na chorobę pani Horzeńskiej, cierpiącej na dokuczliwą astmę, co wymagało częstych wizyt lekarskich. Pozatem dwór w Czołnach, zamieszkały obecnie przez dzierżawcę, nie odznaczał się szczególniejszemi wygodami, a jego zapuszczenie nie dawało odpowiednich ram pannie na wydaniu. Zresztą, pretekstem przenosin była Fastówka, na której nibyto pan Horzeński gospodarował, a także życzenie sędziwej babci Horzeńskiej, pragnącej umrzeć wśród swoich. W rzeczywistości staruszka czuła się znakomicie i ani myślała umierać. Wprost przeciwnie. Z całej rodziny ona była najruchliwsza, najżywiej interesowała się wszystkim, najdespotyczniej pilnowała, by nikt i w niczem nie wykroczył przeciw regułom, panującym w jej domu. Liczyła sobie lat dziewięćdziesiąt, a do ulubionych jej dowcipów należało przechwalanie się, że wygląda najwyżej na osiemdziesiąt dziewięć.

Dr. Murek przepadał za babcią Horzeńską i ilekroć był w willi przy ulicy Wielkiej, bazował się w pobliżu jej fotela, w niej znajdował oparcie i ratunek w konwersacyjnych trudnościach, u niej szukał pomocy, gdy ktoś z domowników lub gości brał go na cel dwuznacznych komplementów, czyli poprostu impertynenckich kpin, do których nie można było przyczepić się, a które stanowiły specjalność ludzi ich sfery. Nie wiedział, czy babcia go lubiła, natomiast ceniła go niewątpliwie i liczne miał tego dowody.

Mniej lub więcej stałych domowników u państwa Horzeńskich było zawsze sporo. Do stołu nie nakrywano nigdy mniej niż na

dziewięć osób. Gdy zapraszano na kolację Murka, na szczęście nie bywało gości.

Tym jednak razem już w przedpokoju zauważył dobrze znane futro z ogromnym bobrowym kołnierzem: adwokat Boczarski. Boczarski uchodził i lubił uchodzić za arbitra elegancji. Ubierał się w Warszawie, lub nawet w Wiedniu, zaliczał siebie do arystokracji, a Murka ostentacyjnie tytułował „panem kolegą” z tej racji, że obaj ukończyli studia prawnicze. Mając w swem biurze nieraz wizyty Boczarskiego, Murek tem niechętniej spotykał go na gruncie neutralnym, lub w domu narzeczonej. Drażniła go maniera szpilkowania rozmowy obcojęzycznymi wstawkami, kolportaż plotek z „wyższego towarzystwa” i cały ten dęty snobizm adwokata, który – wszyscy o tem wiedzieli – bił po chamsku i zamykał w domu żonę, starszą od siebie żydówkę, z którą ożenił się dla pieniędzy.

Sprawdziwszy przed lustrem, że krawat jest dobrze zawiązany, a czarna marynarka i spodnie w paski leżą bez zarzutu, Murek wyjął z kieszeni palta złożoną we czworo ściereczkę, przetaił lakierki i wszedł do dużego pokoju, nazywanego przez babcię salonem, a przez resztę rodziny hallem. Przed kominkiem, na którym skwierczały wilgotne i nie chcące się rozpalić polana, siedzieli półkolem państwo Horzeńscy, Boczarski, pan Salwator, głuchy jak pień stryj Horzeńskiego i marszałkowa Radecka, daleka kuzynka babci, wdowa po mohylowskim marszałku szlachty. Niry nie było. Przez uchylone drzwi jadalni dolatywał brzęk układanych przy nakryciach

sztućców i donośny głos babci, komenderującej służbą.

– Otóż i pan Franciszek – tonem odkrycia powitał Murka gospodarz.

Murek nie lubił swego imienia, zwłaszcza w tym domu: lokaj Horzeńskich nazywał się tak samo.

Towarzystwo poruszyło się, panowie wstali, marszałkowa zapytała, czy pada deszcz, pani Horzeńska zauważyła, że już jest listopad, a zatem pora na przymrozki, stryj Salwator miał minę stropioną, a wreszcie uśmiechnął się, jakby usłyszał lekki dowcip.

Po dłuższej chwili Murek zauważył, że zbyt długo i niepotrzebnie manipuluje chusteczką w okolicy nosa, schował ją do kieszeni i usiadł na okrągłym pufie. Towarzystwo wróciło do przerwanej rozmowy o różnicy między etykietą hiszpańską, a rosyjską. Pan domu był znawcą tych rzeczy, Boczarski wtrącał gęsto uwagi, świadczące, że interesował się tem również.

W pokoju było prawie ciemno, gdyż lampkę na stole przysłonięto japońskim parawanikiem, płomień zaś na kominku raz po raz przygasał, leniwie pełgając po białej korze brzozej i skręcając ją w rurki. Pani Horzeńska, niska pulchna brunetka w ciemnozielonej taftowej sukni, mocno ściśnięta gorsetem, siedziała sztywno, nie opierając się o fotel i tylko jej zielone oczy ustawicznym, niespokojnym ruchem zdradzały nadmierną nerwowość tej nieruchomej postaci. Na Murku pani Horzeńska zawsze robiła wrażenie osoby oczekującej czegoś z hamowaną niecierpliwością, opanowanej wewnętrzną gorączką, czującej

się wszędzie i o każdej porze jakby tymczasowo, podróźnie, przypadkowo.

Jej mąż przy swoim olbrzymim wzroście i masywnym tułowiu, pomimo żywej zamaszystej gestykulacji, wyglądał osiadle i niewzruszenie. Cienie jego rąk kładły się poza nim na dywanie, jak czarne skrzydła wiatraka, obracane porywistymi atakami wiatru. Szeroka, niemal kwadratowa twarz, czerwona i mięsista, wyrazistą mimiką akcentowała każde słowo, a siwe mociumdziejskie wąsy znajdowały się w nieustannym ruchu. Bardzo wysokie, wspaniałe sklepienie i gładkie czoło kazało każdemu, kto pana Horzeńskiego bliżej nie znał, uważać go za bardzo mądrego i światłego człowieka. Dr. Murek dawno już pozbył się tego złudzenia, nie wyrobił sobie jednak o przyszłym teściu żadnego ujemnego zdania. Uważał, że winien mu jest szacunek, a to wykluczało wszelkie niepochlebne definicje. W każdym razie, wołał go od pani Horzeńskiej, milczącej i – jak sądził – egoistycznie skrytej. Do pana Salvatora, marszałkowej i do reszty domowników odnosił się z uważną uprzejmością, jak zresztą i do każdego sprzętu w tym domu, gdzie nigdy nie umiał zdobyć się na swobodę.

Tego dnia czuł się gorzej, niż zwykle. Wciąż nurtowało go wspomnienie niezrozumiałej awantury, jaką mu urządził Niewiarowicz, troska, a nawet niepokój o to, jak ułoży się dalsza z nim współpraca, czy po wytrzeźwieniu – prezydent oczywiście był podchmielony – zechce on cofnąć swoje zarządzenia?... Pozatem martwiła Murka obecność Boczarskiego. Oznaczało

to, że po kolacji trzeba będzie się do brydza i przypadnie sposobność rozmowy sam na sam z Nirą.

– Djabli tego kauzyperdę przynieśli... – irytował się w duchu, przyglądając się z niechęcią jego okrągłym, wystudjowanym ruchom, orlemu nosowi, klasycznym rysom, i całej patetycznej urodzie, o której nawet tak przenikliwa osoba, jak babcia, mówiła, że jest szlachetna.

Boczarski do wizytowego ubrania nie nałożył lakierów. Był w czarnych gemzowych półbucikach, co u niego nie mogło być przypadkowe i Murek zanotował to sobie, jako wskazówkę na przyszłość. W tej i zbliżonych dziedzinach dr. Murek dostrzegał wiele braków swego wychowania, a chociaż sam do nich nie przywiązywał wagi, zdawał sobie sprawę z ich roli w życiu. Pod tym względem dom państwa Horzeńskich traktował poniekąd, jak kursy doksztalające. Ilekroć zaś zdawało mu się, że razi innych swoją nieznaną formą towarzyskich, odczuwał coś w rodzaju żalu do swego opiekuna, ś. p. doktora Słowińskiego. Skolei robił sobie za te nadmierne pretensje gorzkie wymówki. I tak wszystko jemu i tylko jemu zawdzięczał. Począwszy od pierwszych tajemnic alfabetu, a kończąc na wszystkim tem, czem był dzisiaj. Więcej! Zawdzięczał mu tę równowagę duchową, ten spokój wewnętrzny, tę trzeźwą i uczciwą ocenę życia, ten czynny i z głęboko pojętego obowiązku, wypływający swój stosunek do rzeczywistości, do państwa, do narodu, społeczeństwa i ludzkości. Jakże łatwo było zwichnąć się w młodszych latach. Skusić się

atrakcyjnością światoburczych haseł, utopijnych programów, politycznych fantazyj! Albo uledz pokusom egzotycznego indywidualizmu, stać się jednym z tych ludzkich zwierząt, żerujących bezpożytecznie i samolubnie, pasorzytem cynicznym i nietwórczym zastawiającym się przed odpowiedzialnością za własną egzystencję cynicznym pojmowaniem doczesności.

– Niema rzeczy błahych, niema czynów obojętnych, mój Franku – mawiał ś. p. dr. Słowiński.

Tą też zasadą kierował się w całym swym życiu. Przez długie lata aż do osiągnięcia rangi radcy dworu i emerytury pracował w galicyjskiej administracji krajowej, uprawiał działalność społeczną, był ceniony i szanowany. Klęską jego życia było to, że nigdy nie ożenił się i nie założył rodziny, co uważał za podstawowy obowiązek człowieka. Dlaczego go nie dopełnił? Murek nie dowiedział się nawet z papierów i pamiątek zmarłego. Dość, że to swoje sprzeniewierzenie się własnym zasadom, okupił wychowaniem i wykształceniem trzech ubogich chłopców: Jana Bardonia, który zginął w randze porucznika armji austriackiej w roku 1915-ym pod Przemyślem, a po którym radca do śmierci nosił żałobę, Hieronima Pasickiego, obecnie prokuratora sądu apelacyjnego i najmłodszego z nich, Franciszka Murka.

Po radcy odziedziczył dr. Murek sporą bibliotekę dzieł prawniczych, filozoficznych i moralistycznych, a jeszcze bardziej wymowny od drukowanego spadku testament poglądów, związanych w logiczny system, w którym świat był

uorganizowany, jak wielka piramida, według rozumnych, a zatem świętych praw hierarchji, o stopniu zaś, o kondygnacji w tej piramidzie dla poszczególnego człowieka, decyduje jego wartość wewnętrzna i przydatność społeczna, jego zasługi, cnoty obywatelskie i ludzkie, poziom umysłu, ciężar wiedzy, a także charakter czyli wola i trwałość zasad. Wszelkie zakłócenia w tym uporządkowanym obrazie są zgubą dla całości, a klątwą dla winowajców.

Franciszek Murek przejął ten spadek i był sumiennym jego wyznawcą, nietylko przez pietyzm dla zmarłego, lecz i z własnego najgłębszego przeświadczenia. Zawsze na bodaj najdrobniejszym odcinku swojej pracy nie zaniedbywał niczego, by wypełnić zadanie, już przez to wielkie i ważne, że stanowiące cegiełkę w strukturze całej piramidy.

Jak był pilnym uczniem w gimnazjum, niemniej pilnym słuchaczem prawa na Uniwersytecie, a później urzędnikiem, starającym się powierzone mu obowiązki wypełnić jaknajlepiej, tak też uważał za konieczne przyswojenie sobie takich form zewnętrznych, które w jego pozycji są nieodzowne.

Dlatego słuchając wywodów pana Horzeńskiego o etykiecie dworskiej, która wydawała mu się śmiesznem komedjanctwem, szybko przywołał siebie do porządku wyjaśnieniem sobie, że nie powinien zbyt pohopnie osądzać przedmiotu, którego w demokratycznym ustroju nie mógł poznać, a który zapewne ma rację i sens istnienia już przez to samo, że istniał.

Nie mógł jednak skupić uwagi. Drażniła go przeciągająca się

nieobecność Niry. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że z odległego pokoju słyszy jej głos, jakby rozmawiała przez telefon.

Zjawiała się dopiero przy stole. W czarnej wieczorowej sukni z matowego jedwabiu, obcistej i wąskiej u kolan, wyglądała, jak giętka łodyga zakończona jasnym kwiatem szerokiego dekoltu i małej, kształtnej głowy. Wiedział, że nie można jej było nazwać piękną, wiedział, iż wielu mężczyzn razi jej dumne podniesienie głowy i wyzywające spojrzenie, i niemniej wyzywające duże, jędrne usta, a jednak przy każdym nowym spotkaniu doznawał jakby olśnienia. Wydawała mu się za każdym razem nieskończenie wspanialsza, niespodziewanie doskonalsza od tej, którą przecie z drobiazgową ścisłością umiał przy każdym przymknięciu oczu, wytworzyć w wyobraźni.

Gdy podawała mu rękę, Murek powiedział kilka słów zdawkowych i bez sensu. Przy stole siedział naprzeciw Niry. Tak, nie omyliło go pierwsze spojrzenie: napewno miała jakieś przykrości, może nawet płakała. Oczy były mocno podsinione, brwi lekko ściągnięte i bledsza była, niż zwykle, tylko usta zdawały się płonąć. Nie używała żadnych różów, ani karminu do warg. I tak zwracała uwagę kolorytem złotawej cery, miedzianym połyskiem czarnych włosów, głęboką, lśniąca czernią oczu i ciemnym rumieńcem policzków.

Przypatrywał się narzeczonej, nie odrywając – o ile pozwalała na to ogólna rozmowa – spojrzenia. Przy kolacji Nira zapytała go dwa razy o jakieś obojętne rzeczy, pozatem milczała. Babcia również, jakby czemś skłopotana, całą uwagę skupiała na

jedzeniu. Przy stole siedziano prawie półtorej godziny. Były przekąski, później jakaś ryba i kwiczoły, a na zakończenie krem z konfiturami. Ci ludzie przejadali sumy!

Czarną kawę podano w hallu, gdzie też rozstawiono stoliki do brydza. Dr. Murek skorzystał ze sposobności i wszedł za Nirą do buduaru.

– Jaka szkoda – zaczął – że będę musiał grać. Tyle sobie obiecywałem...

Nie dokończył i uśmiechnął się prosząco. Nira spojrzała nań roztargniona:

– Ach tak – powiedziała bez intonacji.

– Pani miała dziś jakieś zmartwienie, panno Niro?

– Ja? – zdziwiła się i niespodziewanie roześmiała się wesoło i szczerze – ależ wprost przeciwnie!

Dziwnie onieśmielił go ten wybuch wesołości.

– Nie rozumiem – zająknął się – bardzo się cieszę, ale myślałem... Pani źle wygląda...

– Ach, rzeczywiście – spojrzała w lustro – przepraszam, panie Franku... Tak, tak, bolała mnie głowa. A... a cóż pan?... Dużo było dziś roboty z tym kontrolerem?

– Nareszcie skończyła się – zatarł ręce. – Gąsowski wyjechał.

– Samochodem? – zainteresowała się.

– Jakim samochodem?... Cóż znowu, koleją. Przypuszczam, że koleją, bo i przyjechał...

– Nie wiem, ktoś mi wspominał, że miał go zabrać pan Junoszyca swoim Mercedesem.

– Skądże... Wątpię...

– Może mi się przesłyszało – wzruszyła ramionami.

– A kto o tem mówił?

– Och, jakież z pana nudziarz. Nie pamiętam – w jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

– Niech pani wybaczy, panno Niro – z nabożeństwem wziął jej rękę i pocałował, – zastanowiło mnie to... Ze względu na pana Junoszyca. Zresztą przypuszczałem, że wyjedzie. Niestety, nie mogliśmy przyjąć jego oferty...

Wydeła usta:

– Naturalnie. Ponieważ ja ośmieliłam się prosić pana o życzliwe ustosunkowanie się do tej sprawy... Naturalnie. O, nie, nie robię panu z tego zarzutu. W każdym razie już nigdy nie spróbuję obarczać pana swemi prośbami.

– Ale, panno Niro – zaśmiał się szczerze, – osobiście dla pani gotów byłbym ponieść największe straty, ale magistrat i miasto nie są moją własnością. Czyż pani nie bierze tego pod uwagę, że...

– Że pan chciał jaknajprędzej wykurzyć stąd człowieka, mając doń doprawdy bezzasadną niechęć. Owszem. Ale zapewniam pana, że to nie jest fair. Nie jest fair. I jeszcze panu powiem, że mężczyzna tego typu, co pan Junoszyca, nie potrzebuje ani mojej, ani niczyjej obrony. O, kto jak kto, ale on napewno nie!

Murek poczerwieniał. Chciał przekonać ją, że na odmowną decyzję w najmniejszym stopniu nie wpłynęły pobudki osobiste, chciał jaknajostrzej przywołać ją do porządku. Gorycz,

oburzenie i ból, tak mu jednak skotłowały myśli, że tylko przygryzł wargi i spojrzał narzeczonej w oczy.

Zreflektowała się i machnęła ręką:

– Zresztą, co to mnie obchodzi. Mam wszakże nadzieję, że zmieni pan swoją metodę postępowania w stosunku do mnie w wypadku, gdybym została pańską żoną.

– Jakto... w wypadku? – wykrztusił i tak zbladł, że uznała za stosowne złagodzić sytuację:

– Gdy zostanę pańską żoną.

Gwałtownie chwycił ją za rękę:

– Panno Niro, Niro, błagam panią, niechże pani ma trochę dla mnie litości, odrobinę... serca... Pani nawet nie może sobie wyobrazić, jak panią kocham... jak...

Wargi mu drżały, głos wibrował. Pokrywał pocałunkami jej dłonie, tulił je do ust, do oczu, do czoła.

– O, przepraszam – rozległ się od drzwi głos pana Horzeńskiego. – Niro, daruj, ale pan Franciszek pożądanym jest przy stoliku.

– Ależ, proszę bardzo – odpowiedziała chłodno.

Idąc do hallu, Murek stwierdził, że czoło, dłonie i twarz ma wilgotną od potu. Jeżeli ona to spostrzegła, mogła odczuć obrzydzenie. Niech djabli porwą te karty!

A karta szła mu tego wieczora, jak nigdy. Już w pierwszym robrze z niejakiem, a nawet z dużym ryzykiem zalicytował szlema w karo i zrobił go z kontrą. Nie uważał, lecz szczęście mu dopisywało. Po drugiej, wstając od stolika, był wygrany

przeszło sto złotych. Najwięcej przegrał mecenas Boczarski i to najbardziej cieszyło Murka.

Panie już spały, oprócz babci, która wytrwale kibicowała synowi.

Murek wyszedł razem z Boczarskim, a że mieszkali przy jednej ulicy, musieli nadal znosić swoje towarzystwo, chociaż obaj nie byli tem zachwyceni. Deszcz ustał, niebo iskrzyło się gwiazdami, od rzeki ciągnął ostry, mroźny wiatr. Szli w milczeniu. Gdy przy kościele skręcali w Brzeską, mecenas zapytał:

– Od dawna zna pan radcę Gąsowskiego?

– Ja?... Dlaczego mecenas pyta?... Wcale go nie znałem.

– Hm... Szkoda, że doktor nie był na pożegnalnym śniadaniu w klubie. Dali dobre kaczkę. Wcale nienajgorszy burgund.

– Mecenas był? – zdziwił się Murek.

– Ach, kogo tam nie było! Chyba ze trzydzieści osób. A jednak... pańska nieobecność zwróciła ogólną uwagę, doktorze.

– Moja? – wzruszył ramionami – cóż ja... Nie lubię takich bankietów.

Mecenas rzucił lekko:

– Różnie to komentowano.

– Co?

– Pańską nieobecność. Właśnie... Nawet Gąsowski głośno wyrażał zdziwienie, że pan jakby go unikał.

– Cóż w tem dziwnego. Nie rozumiem...

Boczarski ziewnął i machnął parasolem:

– Źle się wyraziłem. Gąsowski nie dziwił się, tylko stwierdził, że właściwie niema czemu się dziwić.

– Nie rozumiem – zniecierpliwiał się Murek.

– Mój Boże, no nie słuchałem tego ze specjalną uwagą. Dał jakby do zrozumienia, że doktor go unika, gdyż nie chce przypomnieć mu swoją osobą jakichś dawnych historyj. Powiedział coś w tym rodzaju: – nazwisko pana Murka odrazu wydało mi się znajome, ale teraz już je dokładnie przypominam.

Murek stanął i wziął Boczarskiego za ramię:

– Ale, panie, ja nigdy go na oczy nie widziałem! Ja nie miałem z radcą Gąsowskim żadnych historyj! To jest jakieś nieporozumienie!

– Bardzo możliwe – obojętnie zgodził się mecenas.

– Więc cóż za pretensje?

– Czy ja wiem, drogi panie, – skrzywił się Boczarski – może pan miał w przeszłości takie, czy inne zdarzenia, które mogły się władzom nie podobać.

– Przecież nikogo nie okradłem, ani zamordowałem! – wybuchnął Murek.

– O zapewne, zapewne... Ale, drogi panie, w dzisiejszych czasach tyle ludzi należy do różnych niepożądanych organizacji, wyznaje niebezpieczne poglądy... Namnożyło się tego. Tu komuniści, tam masoni, faszyści, antysemita, socjaliści, anarchiści... teroryści... diabli wiedzą.

Murek roześmiał się:

– Tylko, że ja, panie mecenasie, do żadnych takich rzeczy nie

należę.

– Zapewne. Ale wie pan, co Anglicy nazywają „szkieletami w szafie”?

– Nie.

– Takie różne sprawy, o których się już zapomniało, a które po latach odnajdują się niespodziewanie.

– Śmieszne rzeczy – odrzekł spokojnie Murek. – Ja nie mam żadnych szkieletów w szafie.

– Tak?... Tem lepiej. Widocznie to te... jakże... halucynacje... he... he... he.. No, dobranoc, doktorze, ogrął mnie dziś pan paskudnie, ale zrewanżuję się. Dobranoc.

– Zawsze służę mecenasowi.

Rozstali się. Murek przyśpieszył kroku, koło komisariatu policji, gdzie z okien bił ostry blask, spojrzął na zegarek. Stojący przed bramą posterunkowy zsalutował mu służbiście i życzliwie. W domu było zimnawo, pani Rzepecka nie lubiła wydawać na opał. Trzeba było cienką kołdrę uzupełnić letnim kocem. Rozmyślał o głupstwach usłyszanych od Boczarskiego, lecz nie przejmował się nimi zbyt. Popierwsze mecenas miał zwyczaj nie trzymania się ścisłej prawdy, a podrugie wszystko to nie miało żdźbła podstaw.

Nazajutrz o ósmej był już w biurze. Przejrzał korespondencję, podyktował panie Celinie kilka listów i wyszedł do Izby Skarbowej, by z prezesem Czakowskim ostatecznie uzgodnić rozrachunki z tytułu podatków komunalnych. Czakowski przyjął go mniej serdecznie, niż zwykle. Nie zaczął od pytania, którym

zawsze witał Murka: – Kiedyż doktor zdecyduje się przejść z tego swego magistratu do nas? Natomiast powiedział, że jest zajęty i skierował Murka do swego zastępcy, doktora Żytniewicza.

Tu go też po upływie kwadransa złapał telefon panny Celiny.

– Był pan prezydent – mówiła przestraszonym głosem – strasznie się pieklił, że pana doktora niema, że wczoraj coś polecił panu doktorowi, a to nie jest wykonane...

Murek mruknął „dobrze”, przeprosił Żytniewicza i popędził do magistratu. Pamiętał o wczorajszym zarządzeniu prezydenta, lecz nie brał tej dyspozycji poważnie. I teraz chciał mu to wyperswadować, to też nie zachodząc do siebie, odrazu poszedł do Niewiarowicza.

– Pan prezydent mnie szukał? – zwrócił się do sekretarza Więcka.

– Tak. Bardzo się gniewał.

– Zaraz go udobrucham – uśmiechnął się i zawrócił do drzwi gabinetu, lecz sekretarz zatrzymał go:

– Pan prezydent zabronił kogokolwiek wpuszczać bez meldowania. Ja zaraz pana doktora zamelduję.

– Zwarjowałeś pan, panie Więcek? – zachnął się Murek. – Ja mam się meldować?!

– Cóż ja poradzę – rozłożył ręce – taki rozkaz.

– Ha, no to idź pan.

Więcek znikł bezszelestnie za drzwiami i po chwili wrócił:

– Pan prezydent prosi zaczekać.

– Czy tam ktoś jest?

– Nie, panie doktorze.

Murek spojrzał nań pytającym wzrokiem, lecz Więcek wbił oczy w biurko. Dwie maszynistki pod ścianą zerkały zaciekawione w stronę Murka.

Zaczął chodzić po pokoju. Minęło pięć minut, dziesięć. Czuł, że maszynistki nie spuszczają zeń oczu.

– Może pan doktor spocznie? – podsunął mu krzesło Więcek.

– Nie, dziękuję.

Starał się zachować spokój, lecz przychodziło mu to z trudnością:

– W tem musi coś być – powtarzał w myśli – musi coś być.

Po kwadransie dzwonek zabręczał trzykrotnie i Murek natychmiast wszedł do gabinetu. Niewiarowicz z ponurą miną i jakby ociągając się, podał mu rękę zza biurka.

– Dziwię się bardzo – zaczął oschłym tonem – że zaniedbuje pan swoje obowiązki. Nie mogę tolerować tego, bym musiał w godzinach urzędowych szukać swoich podwładnych po całym mieście.

– Byłem w Izbie Skarbowej, panie...

– To już nie należało do pana. O ile się nie mylę, wydałem panu wczoraj polecenie przekazania spraw podatkowych właściwemu referentowi. Tymczasem był pan łaskaw nie zastosować się... Tak... Zlekceważyć moje zlecenie. Ani pan Lassota, ani pan Kubinowski nic od pana nie dostali. To jest przeciwne mojemu pojęciu o porządku.

– Panie prezydencie. Bardzo przepraszam, ale sądziłem, że to

nie jest aż tak pilne. Pozatem myślałem, że... zdawało mi się, że pan był zadowolony z mojego...

– Panie doktorze – przerwał Niewiarowicz – pan sądził, pan myślał, to panu wolno. Ale nie wolno panu ignorować moich dyspozycji. Tak. Ma pan ściśle określony zakres spraw i proszę do nich wrócić. Jeżeli zaś to panu nie odpowiada... Ha... Wspominał pan, iż Czakowski ciągnie pana do siebie. Cóż?... W skarbowości można zrobić karierę. Osobiście radziłbym panu... Tak. Tam dostałby pan etat...

Niewiarowicz dotychczas siedział nieruchomo i wyraźnie unikał wzroku Murka. Teraz wstał i zbliżył się do niego.

– Etatby pan dostał – powtórzył zachęcającym tonem. – Słowo daję, że życzę panu jak najlepiej. Jeżeliby pan chciał, to mogę nawet pomówić o tem z Czakowskim. Tak. Co?

Murek patrzył nań szeroko otwartymi oczyma:

– Ależ, panie prezydencie – wyjąkał. – Ja wcale nie miałem zamiaru... I dlaczego?... Przepraszam, jeżeli zawiniłem i na przyszłość...

– Na przyszłość – wpadł mu w słowa Niewiarowicz – powinien pan oceniać życzliwe rady. Ot co! Widzę, że panu praca w samorządzie nie odpowiada. Pan jest młody, doktorze, i życie przed panem. Tak. A tutaj co?... No, panie Franciszku, niech pan raz posłucha doświadczonej rady starego człowieka. Tak będzie najlepiej. Dla pana....

Murek oparł się ręką o krzesło. Teraz już nie wątpił, że wchodzi tu w grę owe niedorzeczne zarzuty Gąsowskiego, o

których mówił Boczarowski. Postanowił rzecz postawić jasno.

– Panie prezydencie – zaczął – mówiono mi, że wczoraj na bankiecie radca Gąsowski wyraził w stosunku do mnie, czy do mojej przeszłości jakieś podejrzenia. Otóż zapewniam pana prezydenta, że nigdy, pod żadnym względem nie zrobiłem nic takiego, czegobym musiał wstydzić się, cobym musiał ukrywać. I jeżeli dlatego pan prezydent chce, bym się usunął, gotów jestem świadkami udowodnić...

Głos mu uwiązł w gardle. Niewiarowicz poczerwieniał i wybuchnął:

– Co pan! Co znowu! Zbiera pan jakieś idjotyczne plotki po mieście, imputuje mi pan jakieś konszachty, inwigilacje... Co za bzdury! Mnie tam nie obchodzi czyjeś gadanie. Może pan myślisz, że boję się kogoś? Że wystarczy palcem kiwnąć, żebym już dudy w miech?... Pan mnie obrażasz, panie Murek! Tak. Pan nie zdaje sobie sprawy z tego, że mówi pan do Niewiarowicza, herbu Pomian! Pluję na wszelkie stosunki. Rozumie pan? Niewiarowicze swemi szablami wyrąbali swoją niezależność. Jacek Niewiarowicz kazał biskupowi Hromieszce wlepić dwadzieścia nahajów w goły tyłek, gdy ten ośmielił się mu grozić królewskim trybunałem! Rozumiesz pan? A pan mnie tu posądzasz o to, że się kogoś lękam?... Tak?... To jest, wybacz pan, bezczelność, panie Murek...

Z rozmachem uderzył pięścią w stos papierów, aż kałamarze podskoczyły na biurku.

– Nic mnie pańska przeszłość nie obchodzi i nic niczyje

gadania – sapał, rozgarniając i burząc swoje siwe włosy, aż się nastroszyły i nad czerwoną od gniewu twarzą wyglądały, jak rozwichrzony srebrny płomień. – Pan nie masz nawet szacunku dla zwierzchnika. Tak. Ale ja panu zakazuję występować przedemną z czemś podobnym. Ja to wykluczam raz nazawsze.

Niewiarowicz dyszał ciężko i tak był podniecony, że bez celu przekładał i przestawiał gwałtownymi ruchami różne przedmioty na biurku. Cały ten wybuch był dla Murka niezrozumiały. Wspominając o bankiecie, nie użył przecie żadnego słowa niestosownego! Nie miał najmniejszego zamiaru urażenia prezydenta i milczał teraz, ostatecznie zdezorjentowany, chociaż ucieszył się tem, że owa opowiedziana przez Boczarskiego historyjka nie miała nic wspólnego z rażącą zmianą w ustosunkowaniu się doń Niewiarowicza.

Po dłuższem milczeniu Murek odezwał się:

– Bardzo przepraszam, panie prezydencie, nie miałem ani w myśli czemkolwiek pana dotknąć.

Niewiarowicz zakaszłał, mruknął coś pod nosem i pochylił się nad papierami.

– Zaraz, według życzenia pana prezydenta, oddam te referaty Lassocie i Kubinowskiemu.

– Niech pan przedtem mnie to pokaże – kiwnął głową Niewiarowicz.

Murek skłonił się i wyszedł. Z miny Więcka i maszynistek wynioskował, że podsłuchiwali. Zresztą i podsłuchiwać nie potrzebowali. Prezydent krzyczał na cały gmach. W każdym

razie odczuł wyraźnie zmianę swojej sytuacji. Jeszcze wczoraj za podsłuchiwanie zrobiłby im surową wymówkę. Dziś musiał udać, że niczego nie spostrzega.

Panna Celina, wątpa, anemiczna blondynka, przywitała Murka wystraszonem spojrzaniem. Widocznie nasłuchiwała się już od innych sprawozdań z awantury w gabinecie prezydenta.

Bez słowa otworzył szafę i zaczął wyjmować akty. Była tego spora kupa. Gdy zaczął pracować w magistracie, miał przydzielone tylko trzy referaty. Z biegiem czasu Niewiarowicz przekazywał mu coraz więcej nowych, przyczem tak się złożyło, że dr. Murek, chociaż w poborach i w randze równy innym szefom sekcji, stał się ich faktycznym zwierzchnikiem i – jak mówiono – trząśł całym zarządem miejskim. Nie przysparzało mu to sympatji ani w oczach kolegów, ani wśród wielu zawistnych, rozplotkowanych i ustawicznie wzajemnie przeciw sobie intrygujących urzędników w mieście, w Izbie Skarbowej, w Województwie, w Starostwie i t. d. Niezasłużenie, gdyż Murek wcale nie rwał się do władzy. Prostu lubił pracować, umiał dbać o ogólny porządek, a w swoich działach pracował tem systematyczniej, że nie wierzył w swoje zdolności do improwizacji. Myślenie, wyrabianie własnego zdania, ogarnianie jakiegokolwiek przedmiotu przychodziło mu z większą trudnością, niż innym. Już w latach szkolnych cierpiał bardzo z powodu tego upośledzenia. Niektórzy profesorzy wręcz odmawiali mu inteligencji. Do równowagi wrócił dopiero wtedy, gdy zwierzył się ze swej tragedji ś. p. doktorowi Słowińskiemu

– Mówisz głupstwa – powiedział wtedy Słowiński. – Patrzę na ciebie od czasu, gdyś jeszcze nie miał dziewięciu lat. Bądź przekonany, że uważniej i z większym zainteresowaniem obserwuję twój rozwój, niż ci pedagodzy. Nie robię im z tego zarzutu. Są jeszcze młodymi wychowawcami. Ale zapewniam cię, że w porównaniu z twoimi kolegami, nie jesteś ani o jotę głupszy. Wiesz tyle, co oni, a rozumiesz może więcej. Nie masz tylko owej lotnej inteligencji, owej błyskotliwości umysłowej. Myślisz wolniej, lecz nie znaczy to, byś myśleć nie umiał.

Słowa te głęboko zapadły w pamięć Franciszka Murka, uratowały go przed utratą wiary w siebie, pozwoliły mu przebrnąć przez ostatnie lata gimnazjum i wydział prawny Uniwersytetu, wreszcie wskazały metodę pracy samodzielnej i dały kamerton w jego ustosunkowaniu się do ludzi, nakazując powściągliwość w reakcjach, opanowanie impulsów, działanie po dojrzałym namyśle.

Dlatego właśnie po upływie pół godziny, wracając z pliką teczek do gabinetu Niewiarowicza, nie miał jeszcze gotowych wniosków, nie wyrobił sobie zdania o zachowaniu się prezydenta i postanowił nie śpieszyć z zabiegami o wyjaśnienie pobudek i celu jego działania.

Niewiarowicz już się uspokoił, a chociaż unikał podawnemu wzroku Murka, rozpytywał go tonem niemal życzliwym o szczegóły przedstawionych przezeń referatów. Przy nim też wezwał Lassotę, Kubinowskiego i Jelczę, oddając im papiery i zaznaczając, że dr. Murek jest przeciążony nadmiernie cudzą

robotą.

Gdy zostali sami, podszedł do okna i nieodwracając się, powiedział:

– Na pańskim miejscu, doktorze, pomyślałbym o przeniesieniu się do jakiejś innej instytucji. Mówię to dla pańskiego dobra.

Zrobił dłuższą pauzę i dodał:

– Stałe stanowisko, etatowa posada, to wielka rzecz.

– Zapewne – przełknął ślinę Murek.

– O, widzi pan. A w samorządzie dziś o etaty trudno. Co to trudno! Niema najmniejszej nadziei. Tak.

– Ja też nie liczyłem na etat – pośpieszył zaznaczyć Murek.

– Nie liczył pan?... Bardzo słusznie. Ba, może dojść do obniżki uposażeń. Ministerstwo krzywi się na wysokość budżetów w samorządach. Zwłaszcza na koszty administracji. Tak. Tymczasowa rada miejska też mnie ciśnie. Hm... Nie wiem, czy nie będę zmuszony przeprowadzić... redukcji. Tak... hm... właśnie redukcji...

Odwrócił się, obciągnął marynarkę, chrząknął i zapalił papierosa, a raczej usiłował go zapalić, bo mu zapałki jedna po drugiej gasły. Murek wydobył swoją zapalniczkę i podał Niewiarowiczowi ogień.

Prezydent zerknął ku niemu i powiedział:

– No, doktorze, ale trzeba zabrać się do roboty. Dowidzenia!

...

Murek wrócił do swego pokoju i zabrał się do pracy.

Szybko załatwił bieżące sprawy, poczem wyszedł do poczekalni, by rozsegregować interesantów. Woźni jeszcze nie wiedzieli o nowym podziale kompetencyj: trzeba było petentów skierowywać do Lassoty, Kubinowskiego, Jelczy, lub też zostawić sobie. W związku z tem wynikło pewne zamieszanie, tem większe, że jak zwykle pod koniec miesiąca, interesantów było wielu. Do pierwszego grudnia zostawało trzy dni.

Przypominał o tem nietylko napływ roboty w magistracie lecz i przyroda. Zima nadchodziła szybkim krokiem. Od południa zaczął padać śnieg. Pokrył białą warstwą dach dwupiętrowej kamieniczki naprzeciw, drzewa przed cukiernią Kesła, ratuszowe sztachetki i sięgające okien kopulaste tuje. W biurze zrobiło się bardzo jasno i zdawało się cieplej, chociaż mróz wzrastał, a śnieg nie przestawał padać.

Około czwartej, gdy wychodził z magistratu, spotkał Murek panie Horzeńskie. Matka w szerokim karakułowem futrze wyglądała pękato i ciężko przy Nirze, jeszcze, zdawało się, wyższej i wysmuklejszej w popielicowym żakiecie, który jej sięgał zaledwie do bioder, odsłaniając całą długość nóg, obciągniętych wąską spódnicą z szorstkiego angielskiego materiału.

Obie panie obładowane były paczkami. Wychodziły właśnie ze sklepu Rubinkrauta i ucieszyły się ze spotkania kogoś, gotowego do uwolnienia ich od ciężaru.

– Tylko do dorożki – usprawiedliwiała się pani Horzeńska – sądzę, że znajdziemy je przy rogu.

Przy rogu jednak okazało się, że lepiej przejść się i Murek odprowadził je aż do willi.

– Nie jest pan dzisiaj specjalnie rozmowny – powiedziała mu na pożegnanie Nira z odcieniem niezadowolenia.

– Ja? – opamiętał się. – Ale cóż znowu!...

– Słowa z pana nie można wydobyć.

Pani Horzeńska uśmiechnęła się i konwencjonalnie dodała:

– Cóż, to przywilej zakochanych...

– Przesadzasz, mam – odezwała się Nira. – Pan Franek nawet nie ucieszył się z naszego spotkania...

Spojrzał na nią z wyrzutem. Już chciał powiedzieć, że nie powinny gniewać się na jego humor, gdyż miał w biurze rozmaite przykrości, ale ugryzł się w język. Natomiast przypomniał sobie, że Jabłkowski, dzierżawca placów tenisowych w miejskim parku, zawiadomił go o otwarciu ślizgawki. Zaproponował też Nirze, by poszli tam wieczorem.

– A dobrze – ożywiła się. – Niech pan wstąpi po mnie o siódmej. Mam, nie masz nic przeciwko temu?

– Nie, jeżeli pan mi obieca, że nie zaziębi Niry...

– Obiecuję najsolemniej.

– Więc do siódmej!

– Rączki całuję.

Zawrócił w stronę klubu, lecz przeszedł mimo. W klubie spotkałby wielu kolegów, a nie chciał ich widzieć. W restauracji Wiecheckiego obiad kosztował o trzydzieści groszy drożej, ale było pusto. Jadł bez apetytu, zato wypił kilka większych wódek,

bo gryzły go myśli.

Nie rozumiał, co mogło wpłynąć na zmianę ustosunkowania się doń Niewiarowicza. Jako urzędnik, nic nie miał sobie do wyrzucenia. Jeżeli zaś wchodziły w grę owe fantastyczne „szkielety w szafie”, o których mówił mecenas Boczarski, to popierwsze nigdy do żadnych organizacyj nie należał, polityką nie zajmował się, prawomyślności swojej mógł dowieść, a powtóre sam prezydent najkategoryczniej wykluczył podobne insynuacje.

– Zatem, co się stało? – zachodził w głowę.

Bo jednak coś się stać musiało. Nie mogło to wszystko spaść z nieba wraz z pierwszym śniegiem. I skąd nagle prezydent doszedł do doradzenia mu Izby Skarbowej?... Albo te napomknienia o oszczędnościach w magistracie, o redukcjach?... Nie zamierza go chyba nastraszyć i w ten sposób przygotować do obniżki pensji. Dla Murka jakakolwiek obniżka byłaby ciosem poważnym ze względu na owe raty, którymi spłacał zamówione meble, no, i ze względu na jego przyszły rodzinny budżet...

– Co się stało? – powtarzał sobie w kółko i w kółko wracał od jednej myśli do drugiej. Nie umiał jednak znaleźć z nich wyjścia. Wypił jeszcze kieliszek wódki i zgniewał się:

– A niech sobie będzie, jak ma być!

Zapłacił i poszedł do domu przebrać się, a pięć przed siódmą dzwonił już do drzwi willi Horzeńskich. Nie chcąc zdejmować kożuszka, czekał w przedpokoju dobre pół godziny, zanim

wybiegła Nira, ubrana cała na biało i jeszcze piękniejsza (w tym stroju nikt jej piękności nie może odmówić – pomyślał), niż zawsze. Trochę skrzywiła się, że nie wziął dorożki, ale ostatecznie orzekła, że powietrze jest cudowne i nawet nie chciała oddać narzeczonemu swoich łyżew, któremi dzwoniła wesoło.

Właściwie nigdy dotychczas nie zdarzyło się, by mogli tak długo być we dwójkę i to rozpromieniło Murka. Nira była swobodniejsza, prawie radosna i niemal zalotna. Patrzył w nią, jak w słońce.

– Boże! – mówił prędko, jakby chciał zdążyć powiedzieć jej jak najwięcej. – Boże! Jaka pani jest cudna. To trudno sobie wyobrazić, że to nie fantazja, ale rzeczywistość, że to się stanie, że nikt inny, tylko właśnie ja, że...

– Ale co „że”!? – śmiała się. – Niechże już pan skończy.

– Przez całe życie nie skończę. To tak, jak litanja, czy jeszcze lepiej: nowenna do pani. Wie pani, że nieraz czytałem o miłości, ba, widziałem ludzi, którzy się kochają, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że w tem niema krzty przesady! O, ja i panią nauczę kochać tak mocno, tak szalenie, jak ja. Panno Niro! Zobacz pani, jakie to olbrzymie szczęście...

– Przecież kocham pana – wtrąciła lekko.

Aż zatrzymał się na chwilę:

– Kocha mnie pani?... Kocha?... – mówił nagle scichłym głosem. – Niech pani to powtórzy, panno Niro, proszę powtórzyć!...

– Oj, nudzi pan – zlekka się zniecierpliwiła.

– A widzi pani... – zawyrokował melancholijnie.

– Już się pan robi ślamazarny?

– Nie, nie – ożywił się Murek. – Ale ja panią zarazę swoją miłością...

Nira spojrzała nań poważnie:

– Niech mi pan najpierw powie, co to jest miłość?

– A pani nie wie?

– Wiem – odpowiedziała stanowczo. – Miłość, to płomień, to szaleństwo, to ślepotą, to chęć zatracenia samej siebie, wtopienia się w kochanego człowieka. Bez reszty. To chęć, to potrzeba unicestwienia swojej woli, psia uległość i szczęście rodzące się pod dotykiem ręki... Pod każdym dotykiem, czy to będzie pieszczota, czy uderzenie...

Patrzyła wprost w oczy narzeczonemu, lecz zdawała się go nie widzieć i mówić, jakby do siebie:

– Miłość, to cierpienie, to upodlenie, to niewolnictwo... a przytem... nie przytem, lecz właśnie dlatego największa rozkosz! To wieczny, nienasycony głód, to przenikająca każde włókno tęsknota, tęsknota nigdy niezaspokojona, bo w najzupełniejszym zespoleniu żyje strachem przed następną chwilą rozstania. To żądza wchłonięcia, zjednoczenia się, zidentyfikowania... bodaj w śmierci.

Umilkła i szli obok siebie zamyśleni.

– Straszna to miłość – odezwał się po dłuższej przerwie Murek. – Straszna, drapieżna i krwiożercza...

– To prawda – przyznała poważnie.

– Może tak kochają dzicy ludzie, jacyś buszmeni, czy inni ludożercy – powiedział z uśmiechem.

Nira potrząsnęła głową:

– Nic pan nie wie! Ludożercy! Niech rozbiorą nas z tych sukien, z tych konwenansów, z przymusów dobrego wychowania...! Niech pozwolą każdej wykrzykiwać swoje najskrytsze pragnienia, a każda kobieta, słyszy pan, każda będzie buszmenką, bo każda tylko takiej miłości pragnie.

Murek oburzył się:

– No nie, na to się nie zgodzę. Pierwsza pani, panno Niro, nie byłaby zdolna do takiego... rozwyrzenia!

W jego głosie zabrzmiało tyle mocnego przeświadczenia, że spojrzała nań i wybuchnęła śmiechem.

– Ciekaw jestem, czy byłaby pani szczęśliwa, gdybym według tego przepisu uderzył panią! Ja przepraszam, ale to słowa pani.

Zaśmiała się jeszcze głośniej i długo nie mogła się uspokoić:

– Gdyby pan uderzył?... O, mój Boże... Nie, ja uduszę się ze śmiechu!... O, zapewniam pana, że nie sprawiłoby to mi żadnej przyjemności. I on już przeproszał... Ratunku!

– Nie widzę w tem nic zabawnego – skrzywił się.

– Niech pan powie, panie Franku, jak pana kochały kobiety?

– Jakto kochały?

– No, przecież musiał pan do swoich lat trzydziestu mieć chociażby kilka romansów?

Oczywiście, miał, lecz mówienie o tem z Nirą uważały za

najwyższą nieprzyzwoitość. Ponieważ jednak nie chciał kłamać, powiedział wymijająco:

– Nie sądzę... To jest wiem napewno, że dotychczas w żadnej kobiecie nie wzbudziłem jakiegokolwiek poważniejszego uczucia.

Nie mijało się to z prawdą. Przygodne i krótkotrwałe związki w jego życiu obywateli się bez głębszych uczuć. Jedną tylko Zunią Bolczówną, u której rodziców mieszkał w Stanisławowie, gdy pracował w Kasie Chorych, twierdziła, że go kocha. Okazało się jednak, że jednocześnie polowała na małżeństwo z porucznikiem Dołkiem, za którego też wkońcu wyszła.

– A pan, panie Franku, też nigdy nie kochał? – zapytała Nira.

– Owszem. Nawet uważałem to za mój obowiązek...

– Co? Kochanie się? – zdziwiła się.

– Nie. Powiedzenie o tem pani. Kochałem się będąc studentem. W pewnej dentystce...

– W dentystce? – Nira z trudem powstrzymywała się od parsknięcia śmiechem.

– Tak, ale to była miłość bardzo naiwna, młodzieńcza i zresztą niefortunnie ulokowana. W każdym razie miłość zupełnie inna od tej, którą kocham panią.

Nira swobodnie wzięła go pod rękę i pochylając się szepnęła:

– Ta też jest źle ulokowana.

– Nie powiedziałałaby pani słowa „też”, gdyby... Tamta kobieta niegodna była nawet spojrzeć na panią. Była uosobieniem fałszu i brudu.

– O?... Uwodziła swoich pacjentów?

Murek nie odpowiedział, więc westchnęła i dodała:

– W każdym razie cieszę się, że dopuszcza pan możliwość istnienia kilku rodzajów miłości. Niech pan patrzy co za tłok!

Rzeczywiście w parku pełno było ludzi. Koncertowa koncha rozbrzmiewała dźwiękiem walca z płyty gramofonowej, spotężniałym dzięki wielkim megafonom. Na lodzie kręciło się kilkadziesiąt osób. Murek przypiął łyżwy narzeczonej i sobie. Ślizgał się dobrze, a chociaż zamało tu było miejsca do popisu jazdą figurową, Nira od razu oceniła jego umiejętność.

Była wyjątkowo wesola, rozbawiona, wyglądała ślicznie. Aż oczy rwała. Wszyscy znajomi i nieznajomi mężczyźni przyglądali się jej z nieukrywanym zachwytem. Co zaś najbardziej brało Murka i napełniało go dumą, to owa obojętność, z jaką Nira odnosiła się do całego otoczenia. Zdawała się nie spostrzegać strzelistych spojrzeń, zajęta wyłącznie sobą i towarzyszem.

– Co to jednak znaczy wychowanie, – myślał Murek – takt, umiejętność zachowania swobody przy jednoczesnym zignorowaniu zachwyków. To jest klasa panien z dobrego domu.

Przed dziewiątą odwiózł Nirę do domu. Na pożegnanie dowiedział się rzeczy przykrej.

– Jutro niech pan nie dzwoni – powiedziała – o jedenastej rano wyjeżdżam z mamą do Warszawy. Jeżeli pan chce, może pan przyjść na dworzec.

– Do Warszawy? – zmartwił się.

– Nie na długo. Dwa, trzy dni. Po sprawunki.

Nie było w tem nic nadzwyczajnego. Horzeńscy często bywali w Warszawie. Zwłaszcza panie. Jednak tym razem niepokój ogarnął Murka. Przekonywał siebie, że nie ma to sensu, że niepokój wynikał z ogólnego zdenerwowania, jednak nazajutrz przyszedł na dworzec ponury. Ulokował panie w przedziale i długo spoglądał za znikającym pociągiem.

Wróciwszy do magistratu, znalazł na biurku bilet wizytowy Niewiarowicza. Bilet miał zagięty rożek. Panna Celina wyjaśniła, że prezydent wstąpił tu przed kwadransem, bardzo się zirytował i zostawił kartkę.

– Co mówił?

– Ja nie słuchałam – zaczerwieniła się panna Celina... – Coś tam, że... „znowu go niema”...

Murek natychmiast poszedł do Niewiarowicza, lecz sekretarz oświadczył mu, że prezydent nikogo nie przyjmuje. Uśmiechnął się przytem dwuznacznie.

Po godzinach urzędowych dr. Murek w fatalnym nastroju wrócił do domu bez obiadu. Drzwi otworzyła służąca Karolka. Wystrojona było w odświętną sukienkę i wiało od niej mocnym zapachem perfum. Od kilku tygodni, odkąd tu służyła, nie widział jej w takiej gali, ani w takim usposobieniu. Przewracała oczami, krygowała się, a nawet wyglądała ładniej niż zwykle. Tajemnica tej metamorfozy szybko wyszła najaw. Okazało się, że pani Rzepecka wyjechała na cały tydzień do siostry w lubelskie.

– A Karolka co? Zamąż wychodzi, że taka strojna?

Wyszczерzyła w uśmiechu mocne, szerokie zęby:

– Eee... zamąż... ktoby tam zaraz żenić się chciał.

Zdjął palto i jakoś mu się weselej zrobiło.

– A Karolka chciałaby? – spojrzał na nią życzliwie.

Nie mogła jeszcze mieć trzydziestki, chociaż nacodzień, w brudnej potarganej spódnicy i w wypłowiałym swetrze, wyglądała prawie staro.

– Ci... pewno – poruszyła szerokimi biodrami – bez chłopaci się.

Uznał, że dość poufałości, chrząknął i skierował się do siebie.

Karolcia ociągając się, ustąpiła mu z drogi i powiedziała za nim:

– A panu doktorowi to już dziś zimno nie będzie.

Nabuzowałam w piecu, że aż trzeszczy.

– Dziękuję Karolce.

– Proszę bardzo. Ja dla pana zawszeby, tylko ta stara choroba skąpa, pies na każdą szczapę.

W obu pokojach Murka rzeczywiście było aż duszno. Chciał otworzyć któreś okno, lecz wszystkie były opatrzone na zimę i poobklejane papierem. Zdjął marynarkę i wyciągnął się na kanapie. Starał się zacząć myśleć spokojnie i systematycznie o swojej sytuacji, lecz z salonu rozległy się gwizdy, piski, a wreszcie jakaś melodia. Karolka nastawiała radjo. Używała swobody. Już zamierzał wstać i zburczeć ją za to, gdy zjawiła się sama:

– Czy panu nie przeszkadza, że ja gram na radju?

– Nie, ale żeby Karolka nie zepsuła. Lepiej nie ruszać.

– A co tam zepsuć? – wzruszyła ramionami – stara wszystko powyłączała i myślała, że ja nie potrafię puścić. Ale jak pan nie chce, to mogę nie grać.

– Lepiej nie – powiedział pedagogicznie.

Karolka stała w dalszym ciągu przy drzwiach, a po chwili odezwała się:

– Chciałabym coś zapytać, tylko nie śmiem...

– No co?

– A dlaczego pan doktor nie leczy ludzi tak, jak wszyscy doktorzy?

Ubawiło go to, lecz cierpliwie i rzeczowo wytłumaczył jej, jaka różnica jest między tytułem doktorskim a zawodem lekarskim.

– Aha – zrozumiała – a co to, pan na obiad dziś nie pójdzie?

– Nie. Nie mam ochoty.

– To jakże tak?... O! Tak nie można. Chłop musi swoje zjeść.

Pomimo protestów Murka uparła się, że mu coś przyrządzi. Nie upłynęła godzina, gdy zjawiła się, z patelnią jajecznicy, przysmażoną kiełbasą i z butelką wódki. Nakryła serwetką stół i Murek zwróciwszy jej wydatki zabrał się, z apetytem zresztą, do jedzenia.

– Kieliszki choroba pozamykała. Musi pan po chłopsku szklaneczką pić – kręciła się koło stołu Karolka – a wie pan doktor, że ta nasza stara to mówi, że pan za przeproszeniem z chłopów. Przez złość tak mówi.

– Bo to prawda – potwierdził Murek.

– Ale też! Nie taka ja głupia. Jakby pan był z chłopów, toby pan był alfabetą, a nie doktor. Tylko ta stara, to taka wiedźma, choroba. Ona mówi, że panu zachciało się z dziedziczką z Czołnów żenić, ale, że oni, niby jejna rodzina, to nosem kręci. A że niby sama panna, to u niej pan nic mieć nie może, bo strasznie już dbająca. Żeby dopiero po ślubie. Jakby tak kręcili nosem, to coby się tak o ten ślub strzymywała! No nie?

Murek zmarszczył brwi:

– Cóż to panią Rzepecką może obchodzić!

– A właśnie. Pewnie – przytaknęła Karolka – a jak przyjdzie do kuchni to furt pańską osobą sobie tę krzywą gębę wyciera. Co ona nie gada!... Jak ta sklepiczarka sprzeciwka mówiła, że pan doktor to w magistracie każdą jedną urzędniczkę za kochankę ma, to nasza stara, że broń Boże, że pan całkiem bez kobitów się obchodzi, bo pan, jakoś to ona mówiła, namunista, czy co? ... Ale mówi, że to lepiej jak z takimi owcami, co to każdego jego kawalerskie prawo. Ale ja tam nie wierzę...

– Najlepiej będzie – z gniewem przerwał jej Murek – jeżeli Karolka przestanie gadać głupstwa. I wogóle nie wtrącać się do cudzych spraw!

– Ja też – zaczęła, lecz powiedział jej ostro:

– Proszę już iść do siebie!

Gdy zamknęły się za nią drzwi, zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, wyrzucając przez zaciśnięte zęby przekleństwa. Nigdy nie przypuszczał, że jest tematem rozmów i to takich rozmów.

– I co ja ich wszystkich obchodzę! – wściekał się.

Ze złości wypił prawie całą butelkę wódki. Alkohol trochę go uspokoił. Zaczął nawet żałować, że skrzyczał Karolkę. W każdym razie jej informacje tak zniechęciły go do ludzi, że postanowił już nie wychodzić. Rozebrał się i położył do łóżka, chociaż zaledwie było po siódmej. Ledwie zgasił światło zapukała Karolka.

– Muszę zabrać naczynie – wyjaśniła – o jej, jak tu ciemno! Pan już śpi?

– Śpię – odpowiedział krótko.

Potykając się o krzesła, szła w ciemności.

– Niech Karolka zapali światło.

– Oj, nie mogę, bo się wstydzę. Ja już też rozebrana...

Zawadziła o łóżko. W nozdrza Murka uderzyła fala zapachu perfum i potu. Krew odrazu zabębniła mocniej. Wyciągnął ręce. Pochylała się nad nim. Dotyk szorstkiej płóciennej koszuli i ciepłego gładkiego ciała. Przemknęło mu przez nerwy wspomnienie jej szerokich bioder i grubych muskularnych łydek. Poderwał się i przyciągnął ją do siebie. Silnie, sprężyste przywarła doń całym ciałem.

– Ty, głupia – wykrztusił przez zaciśnięte szczęki.

– O jej – szepnęła.

I więcej nie zamienili słowa. O świcie słyszał przez sen brzęk talerzy i sztućców. Musiała sprzątać ze stołu.

Obudził się codziennym nałogiem o siódmej. Okna iskrzyły się mroźną śniedzią. Pod bokiem coś uwierało dotkliwie. Namacał czarną grubą szpilkę od włosów, obejrzał ją z

niedowierzaniem, zwolna położył na nocnej szafce i mruknął:

– Psiakrew!

Karolka przyniosła śniadanie. Kawę, bułki i masło, oraz gazetę. Powiedziała „dzieńdobry”, lecz nie spojrzała mu w oczy. Umyślnie nie zabierał się do śniadania, nim krzątała się po pokoju, zabierając ubranie i buty do czyszczenia. Wziął gazetę i z przyzwyczajenia zaczął przeglądać. Był to „Głos Poranny”, mała gazetka miejscowa, wydawana przez Związek Pracy Obywatelskiej. Poza przedrukami z pism stołecznych zawierała zawsze sporo wiadomości z miasta, z urzędów, z województwa. W oczy rzucił się czarny dwuszpaltowy tytuł: „Zmiany w magistracie”. Krótką notatkę przeczytał jednym tchem:

„Jak dowiadujemy się, w naszym magistracie w najkrótszym czasie nastąpią zmiany na kilku stanowiskach. Mianowicie ustępuje dotychczasowy szef sekcji bruków, wodociągów i kanalizacji, dr. Franciszek Murek. Sekcję tę obejmie referent aprowizacji, p. Paweł Jelcza, którego miejsce zajmie inż. Wacław Pośnik z wydziału rachuby”.

Murek czuł, że mu krew ucieka z twarzy. Przeczytał notatkę jeszcze raz. Ręce drżały i musiał je oprzeć o koldrę.

– Bzdury! To niemożliwe! – krzyknął głośno.

Zmiał gazetę i cisnął nią pod piec, lecz już po chwili wyskoczył z łóżka, by ją podnieść. Ubierał się gorączkowo, z nienawiścią spoglądając na zadowoloną, półuśmiechniętą twarz Karolki. Śniadania nie jadł. Na ulicy hamował się, by nie biec.

Pannę Celinę zastał zapłakaną. Nie zwrócił na to uwagi. Woźny, odbierając odeń palto, powiedział:

– Pan sekretarz Więcek prosił, aby pan doktor zaraz do sekretarjatu...

– Dobrze.

W biurze musiano już czytać „Głos Poranny”. Wszyscy, których spotykał, patrzyli nań ze szczególniejszą uwagą. Więcek przywitał go dyskretnym uśmiechem.

– Niewesoły liścik mam dla pana doktora. Oto tu – wskazał zapieczętowaną kopertę – Ale będzie pan łaskaw pokwitować odbiór.

Podsunał Murkowi książkę i wskazał rubrykę. Murek podpisał się i już teraz wiedział, że wiadomość w „Głosie” nie jest zmyślona.

– Cóż to – starał się zdobyć na uśmiech – wypowiedzenie?...

Więcek rozłożył ręce.

Koperta zawierała krótkie urzędowe pismo według stereotypowej formułki. Z dniem pierwszym grudnia... wskutek redukcji... w związku z reorganizacją... na podstawie artykułu takiego-to...

Nowe było tylko jedno: miał natychmiast zwrócić się do kasy, celem otrzymania należnych poborów za trzymiesięczny przepisowy okres wypowiedzenia. Oznaczało to, że chcą pozbyć się go odrazu.

Usiłując zachować spokój, schował pismo do kieszeni i zapytał:

– Czy... redukcja objęła dużo osób?...

– No – z wahaniem odpowiedział Więcek. – Zamierzona jest szerszej... Ale narazie dotyczy tylko pana doktora i panny Celiny.

– Tak... – potrząsnął głową Murek. – No, trudno. Czy już jest pan Niewiarowicz?

– Panu chodzi o świadectwo?... Mam je przygotować na jutro i przesłać do kasy, gdzie razem pan doktor je odbierze z...

– Ach, mniejsza o świadectwo. Chciałem jednak rozmówić się z prezydentem.

Więcek zrobił ruch ubolewania.

– Bardzo żałuję, ale... pan prezydent już zapowiedział, że nie będzie miał czasu pana przyjąć.

– Ani jutro?

– Ani... wogóle. Pan prezydent jest teraz bardzo zapracowany.

Murek nie odpowiedział ani słowa i wyszedł.

Rozdział II

Do Izby Skarbowej przyjęto trzech nowych urzędników. Dyrekcja poczt rozpiła konkurs na jedno z kontraktowych stanowisk, przyczem od kandydatów żądano ukończonych studjów prawniczych. Dyrekcja robót publicznych zaangażowała cztery osoby. O wszystkich tych wolnych miejscach dr. Franciszek Murek dowiedział się w porę i wszędzie złożył podania wraz z odpisami świadectw. Wszędzie napróżno, chociaż – o ile przez znajomych został poinformowany – jego kwalifikacje w wielu wypadkach były najlepsze.

W ciągu pierwszych kilku tygodni nie przejmował się tem zbytńio. Sam przecie, zajmując jedno z kierowniczych stanowisk w magistracie, miał nieraz powód do narzekania na brak wykształconych, dzielnych i godnych zaufania pracowników. Wyrobił sobie nawet dość ujemne zdanie o bezrobociu wśród inteligencji.

– Ci ludzie albo nie umieją, albo nie chcą pracować – mawiał nieraz, gdy naciskał go kierownik pośrednictwa pracy w Związku byłych działaczy niepodległościowych, inżynier Weicht.

Teraz, kiedy musiał sam się u niego zarejestrować, czuł się trochę nieswojo. Tembardziej, że wkrótce po magistrackiej dymisji w Związku zaproponowano mu, by ustąpił z Zarządu, a to dla dobra zrzeszonych. Wbrew zapewnieniom Murka, uważano tu, że jego udział w Zarządzie będzie niewsmak

prezydentowi Niewiarowiczowi.

Nie upierał się. Wyszedł z posiedzenia obrażony. Postąpił jednak źle. Za przykładem bowiem Związku poszły niemal wszystkie organizacje do których należał. Nawet Bezpartyjne Zjednoczenie Pracy Państwowej, gdzie był bodaj najczynniejszym członkiem. Wyzyskano tu małą nieformalność: nie wpłacił w porę składki członkowskiej i został skreślony, chociaż niemal wszyscy z wpłatami zalegali po pół roku lub dłużej.

– Mam złą passę – zagryzał wargi dr. Murek – ale to nic. Musi się odwrócić.

Tymczasem nie odwracało się. Zasób gotówki wyczerpywał się zwolna, lecz stale. Pomimo poważnych oszczędności woreczek irchowy, noszony na piersi pod koszulą, chudł z tygodnia na tydzień. Od pani Rzepeckiej trzeba było wyprowadzić się i zamieszkać w jednym pokoiku przy ulicy Dojazdowej u rodziny emerytowanego kolejarza. O tyle tu było lepiej, że miał osobne wejście przez sionkę. Wprawdzie nie miewał wcale gości, lecz wołał być nieskrepowany. Jediną osobą, która przychodziła tu od czasu do czasu, była służąca z dawnego mieszkania, Karolka.

Przynosiła listy, które wciąż nadchodziły pod dawnym adresem. Zresztą przychodziła rzadko, wtedy tylko, gdy udało się jej zwieść czujność podejrzliwej wdowy. Korespondencja, jaką dostarczała Murkowi składała się wyłącznie z odpowiedzi na jego podania i to z odpowiedzi wciąż odmownych.

Dziewczyna musiała przedtem odczytywać te listy, gdyż widocznie orjentowała się w sytuacji Murka, chociaż nigdy z nią o tem nie mówił. Wogóle nie mówili ze sobą. Poza kilku zdaniem na temat pani Rzepeckiej nie mieli sobie nic do powiedzenia. On uważałby za rzecz śmieszną i niestosowną dzielenie się z nią swojemi nadziejami i troskami. Ona pogodziła się z tem bez słowa sprzeciwu, a całe współczucie dla pana doktora wyładować umiała w niezmiennej gotowości dostarczenia mu samej siebie. Raz wprawdzie przyniosła dwa kawałki pieczonej kaczki, resztkę po świątecznem przyjęciu u pani Rzepeckiej, lecz zbesztana i wyśmiana, nie zrobiła już tego więcej.

Spędzali ze sobą krótkie półgodzinki, które dla Murka były tylko chwilowem oderwaniem się od rzeczywistości. Po nich jeszcze czarniejsze przychodziły myśli i jeszcze dokuczliwsze refleksje. Już to, że wstydział się wizyt Karolki, że pokryjomu wpuszczał ją przez sionkę, że odnosił się do tej dziewczyny po zwierzęcemu, – napełniało go goryczą do siebie. A już wręcz gardził sobą za to, że w brudny sposób zdradza narzeczoną, że znieważa swoją miłość do Niry.

Nie pomagały żadne spekulacje i targi z sumieniem, żadne usprawiedliwienia i argumenty. Ogarniało go przerażenie na myśl, że Nira mogłaby w jakiś sposób o wszystkim się dowiedzieć. Na szczęście nie wróciła jeszcze z Warszawy. Murek przed Bożem Narodzeniem otrzymał od niej krótką kartkę. Pisała, że leży chora na grypę, a po chorobie zapewne

nie będzie mogła wracać odrazu z obawy przed powtórny zaziębieniem.

Murek pisał do niej regularnie dwa razy na tydzień. Uważał, że więcej nie wypada, lecz objętość każdego listu wciąż wzrastała. Oczywiście ani myślał rozpisywać się o swoich kłopotach. Bał się, by widząc nowy i tym razem uzasadniony powód do odroczenia ślubu, nie zaczęła patrzeć na ich narzeczeństwo, jak na rzecz nierealną. Dlatego tylko mimochodem wspomniał o swoim ustąpieniu z magistratu i dodał, że w najbliższym czasie obejmie bardzo dobre stanowisko.

Nira na listy, swoim zwyczajem, nie odpisywała. Zresztą nie pisywała też do domu, jak o tem przekonał się w sam dzień Nowego Roku. Naogół unikał spotkania z Horzeńskim, lecz w tym dniu przyzwoitość nakazywała złożyć w willi przy ulicy Wielkiej życzenia. Wybrał się umyślnie o piątej, by nie zastać gości.

Pan Horzeński wyszedł doń w szlafroku i przywitał z ostentacyjnym chłodem:

– Dziękuję panu za życzenia, chociaż, przyznam się, nie spodziewałem się tej wizyty.

– Jakże, proszę pana – zaczął Murek, lecz Horzeński przerwał mu odrazu:

– Po tem, co pan nam zrobił... Nie, proszę pana. Nawet dziwię się, że uważał pan za możliwe zaszczyć mój dom.

Murek przestraszył się:

– A cóż ja zrobiłem?...

– Niezłe pytanie! – ironicznie zaśmiał się Horzeński.

– Zapewniam pana, że zostałem zredukowany bez żadnego powodu. Słowem honoru ręczę, że nie popełniłem najmniejszego nadużycia! Jeżeli zaś chodzi o to, że chwilowo nie mam posady... Jestem przekonany, że w najbliższym czasie coś odpowiedniego znajdę. W każdym razie córka szanownego pana, jako moja żona, proszę mi wierzyć, będzie miała być zapewniony. Jestem młody, energii mi nie brak...

Horzeński niecierpliwie machnął ręką:

– A cóż mnie to obchodzi!? Do stu djabłów, co mnie obchodzi, czy pan masz posadę, czy nie?... Chyba nie imaginujesz pan sobie, że wydamy Nirę za pana?

– Ależ... ja nie rozumiem...

– Taki pan naiwny? A jeszcze doktor praw! Zaprzepaściłeś mi pan jedyną okazję ratunku! Ja tak panu ufałem, że sam już nie wtrącałem się w te rzeczy, a pan póty zwlekał z zakupieniem przez miasto Fastówki, aż pana wyleli! Ja omal tego życiem nie przypląciłem, słyszysz pan?! Przez pół roku zwodzić, zwlekać... oszukiwać! Tak, bo to już oszustwo!... Jestem zrujnowany! Nie pozostaje mi teraz nic innego, jak z pudełkiem od sardynek iść pod kościół. No! Ja panu tego nie przebaczę. Wolno panu być głupcem, ale na własną odpowiedzialność. Teraz przepadło. Kupują już grunty od wschodu. Jakiś tam Żelazikowski, hycel, parwenjusz, obłowi się.

Czerwony i wściekły potrząsnął nad głową Murka pięściami:

– I ja zaufałem panu!... Niedorajda! Zachciało mu się

wywrotowej polityki!... Coś pan Hitlerem, czy Mussolinim, czy innym Witosem chciał zostać! Tfu!... I ja na Związku Ziemiaków muszę za takiego jegomościa oczami świecić. „Narieczony pańskiej córeczki podobno w tajnych partjach rej wodzi...” Tfu! Jeszcze gotowi mnie posądzić, że z panem mam coś wspólnego!

...

– Ależ... – próbował zacząć Murek, lecz Horzeński wrzasnął:

– W nosie mam pańską politykę! Ale jak ktoś chce coś robić, to niechże potrafi to ukryć! Rozumiesz pan?... A tak pana wyleli, a cała nadzieja na Fastówkę przepadła...

Rzucił się na fotel i sapał, ruszając gwałtownie wąsami. Murek tymczasem zdołał się opanować i powiedział spokojnie:

– Myli się pan. Nigdy ani panu, ani nikomu nie obiecywałem przeprowadzić w magistracie sprawy Fastówki.

– Jako?...

– Nietylko nie obiecywałem, lecz najwyraźniej w świecie powiedziałem, że byłoby to wbrew interesom miasta.

– I cóż z tego, że wbrew? Mało to rzeczy robi się wbrew? Zbikował pan chyba!

– Ale ja jestem uczciwym człowiekiem...

– Poczciwym – zjadliwie poprawił Horzeński. – I cóż pan z tej swojej uczciwości masz?... Co?... Wyrzucili pana za drzwi. I ani Fastówki, ani posady. Wyrzucili za drzwi... Fiut i niema.

Murkowi krew uderzyła do głowy:

– To się jeszcze pokaże!

– Niby co?

– A to, że ja do magistratu wrócę.

– Et – machnął rękami Horzeński.

– Jeżeli rzeczywiście postawiono mi za mojami plecami zarzut jakiejś politycznej nieprawomyślności, udowodnię, że to jest wyssane z palca. Ja nigdy nie należałem do żadnej partji, do żadnej organizacji politycznej. A zresztą to wszystko plotki. Prezydent Niewiarowicz zapewnił mnie, że w te banialuki nie wierzy...

– Tak? Nie wierzy?... – zaśmiał się Horzeński. – Otóż powiem panu: Możesz pan mydlić oczy komu pan chcesz, tylko nie mnie, bo mnie to nic nie obchodzi. Teraz już ani ziębi, ani parzy. Ale pan musisz sam doskonale wiedzieć, za co pana wydalono, skoroś nie protestował. To raz. A powtóre tenże prezydent Niewiarowicz mówił głośno na imieninach u wojewody, że pan podszedłeś go, ukrywając swoją przeszłość polityczną. Dość wyraźne, czy nie?

– To bezczelne oszczerstwo! – wybuchnął Murek. – O, ja się nie dam podziemnym intrygom. Całe moje życie dotychczasowe jest jak na dłoni...

Do hallu weszła babcia Horzeńska, więc umilkł i zerwał się, by ją powitać i złożyć życzenia. Staruszka z miłym uśmiechem wyciągnęła doń rękę:

– No, nareszcie pan się zjawił. Czy to ładnie tak zapominać o moim domu?... Jak niema naszej przynęty, to już stara babcia nie liczy się?...

– Skądże, proszę szanownej pani... Nie śmiałem narzucać

się...

– Pan jest tu zawsze mile widziany. Nawet już wobec pana nie przestrzegamy przyjętych form. Widzi pan, mój syn jest w szlafroku. Bądź, Staszku, tak dobry i włóż marynarkę. Nie uznaję negliżu w salonie.

Mówiła z uśmiechem, lecz wyraz jej oczu był rozkazujący.

Pan Horzeński skrzywił się i powiedział:

– Pan Murek już właśnie żegnał się...

– Rzeczywiście śpieszę, proszę szanownej pani.

– To trudno. Ja mam swoje prawa, mój panie Franciszku – wzięła go pod rękę staruszka. – Pogawędzimy sobie. Proszę siadać. Staszku, bądź tak miły i zadzwoni na służbę. Napiję się z panem Franciszkiem kawy.

– Serdecznie dziękuję – bąknął. – Ale...

– To dla mnie wielka uroczystość – przerwała. – Kawa mi, niestety, szkodzi. Zatem nie odmówi mi pan towarzystwa. Stęskniłam się za młodością. Oni tu wszyscy tacy starzy. Cóż, miał pan jakieś wiadomości od narzeczonej?

Pan Horzeński wzruszył ramionami i wyszedł. Murek z wolna uspokajał się. Rozmowa z babcią zawsze działała nań kojąco. Jakże żywy umysł zachowała ta kobieta, jaką umiejętność rozmowy. Z nią jedną nigdy nie brakło tematu, tyloma rzeczami interesowała się, tyle czytała, no, i przede wszystkim tak łatwo umiała mówić. Niczem nigdy nie dawała poznać, że cokolwiek ją nudzi, potrafiła zawsze znaleźć miejsce na bezosobisty, czasem nawet ostry dowcip.

I teraz przetrzymała Murka przeszło pół godziny na rozmowie, w której ani razu nie dotknęła drażliwych spraw jego dymisji, Fastówki, narzeczeństwa, chociaż niewątpliwie doskonale o wszystkim wiedziała od syna. Nie dotknęła tych spraw, a jednak między zdaniami, między słowami potrafiła dać Murkowi do zrozumienia, że nie powinien zrażać się afrontami, że ona nigdy nie łudziła się przyszłością Fastówki, a że pomimo wszystko jest najlepszej myśli co do małżeństwa jego z jej wnuczką.

Na pożegnanie jeszcze raz zobowiązała go do częstszych odwiedzin i dodała, że żegna go w imieniu syna, który ani rusz nie może się rozstać z szlafrokiem.

Gdy tylko znalazł się sam na ulicy, ponownie ogarnęła go wściekłość. Więc Niewiarowicz okłamał go, obrzydliwie okłamał. Całe jego oburzenie było komedią. Nędzna kreatura. Uląkł się oszczerczej plotki. Oczywiście Boczarski nie wyszał nic z palca. Na owym pożegnalnym bankiecie Gąsowski napewno mówił źle o Murku. Ale dlaczego? Skąd wzięły się te plotki? Niewiarowicz po śmierci brata nie jest pewny swego stanowiska i drży o własną skórę....

– O, ja mu jeszcze pokażę – zaciskał zęby Murek.

Chęć zemsty przemówiła w nim pierwsza. Począł wyszukiwać w pamięci zarzuty przeciw Niewiarowiczowi. Znalazło się ich sporo. Na koszt miasta remontował swoje mieszkanie. Woźny, opłacany z magistrackiej kasy, był u niego lokajem. Od kupca Lubartowicza dostarczano mu mięsa bezpłatnie za przymykanie

oczku na machinacje w rzeźni. A komisja do badania kina „Glorja”, a wydzierżawienie składów miejskich siostrzeńcowi?

...

– Ja mu pokażę!...

Wystarczyło pójść do starosty Bożymka i wszystko to wyłożyć na stół. Ten już sobie poradzi. Pan Niewiarowicz wyleci, jak z procy. Chce być stróżem politycznej prawomyślności urzędników, niechże wylegitymuje się z własnej. Krótką ma pamięć, jeżeli sądzi, że Murek nie zakontował sobie jego zwierzeń... Już Bożymek ładnie go urządzi...

Murek zatarł nerwowo ręce, lecz uprzytomnił sobie, że zemsta taka jemu samemu nicby poza satysfakcją nie dała. Starosta po wygryzieniu Niewiarowicza, wsadziłby na prezydenturę własnego szwagra, a w każdym razie na głowie stanąłby, by Murek nie wrócił do magistratu. Za wiele porażek jemu zawdzięczał.

– Nie, tu trzeba działać celowo i rozważnie.

Przedewszystkiem należy zbadać, jakie zarzuty Gąsowski postawił, później zdemaskować ich kłamliwość, zażądać rehabilitacji i powrotu na dawne stanowisko, a wtedy będzie czas na porachunki z panem Niewiarowiczem. I nie tylko z nim! Z tymi wszystkimi, którzy odrazu od „podejrzanego” odwrócili się. Teraz rozumiał, dlaczego z takim pośpiechem wykreślono go lub odsunięto od pracy we wszystkich organizacjach społecznych... Ich wszystkich ogarnęła panika, na myśl, że mogą być posądzeni o bliskie stosunki z człowiekiem

nieprawomyślnym.

Zaśmiał się gorzko.

– Oto ludzie!

Żeby chociaż wiedział konkretnie, o co go oskarżają! Jakież popełnił zbrodnie? Do jakiej podziemnej partji miał należeć?...

– Tak, od wyświeatlenia tego trzeba zacząć – postanowił.

To też zaraz nazajutrz rano wybrał się do mecenasa Boczarskiego. Służący wprowadził go do poczekalni i zapowiedział, że odrazu pan mecenas go nie przyjmie, gdyż ma u siebie już jednego klienta. Poczekalnia była właściwie niedużym salonem o ścianach, zawieszonych od sufitu do podłogi obrazami w złotych ramach. Płótna były tak ciemne ze starości, że nie mógł rozróżnić na pierwszy rzut oka ich treści. Przypomniat sobie natomiast kursujące po mieście kpinki na temat ich wartości. Twierdzono, że nie są to bynajmniej antyki, ani dzieła wielkich malarzy, lecz imitacje, specjalnie zamówione przez Boczarskiego. Złoczone mebelki i bardzo efektowny dywan uzupełniały urządzenie pokoju. W amfiladzie drzwi były pootwierane, jednak uszu Murka nie dolatywał żaden dźwięk. Nawet z położonego obok gabinetu nie słychać było nic. Na stole leżały pisma francuskie, jakaś rozłożona i do połowy poprzecinana książka w tymże języku i angielski tygodnik ilustrowany. Zdołał zrozumieć z niego tylko datę: wydany był przed rokiem.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i Murek usłyszał ostatnie słowa rozmowy:

– Ani miesiąca dłużej – podniesionym głosem mówił adwokat.

– Nie będziesz pan taka świnia – odpowiedział klient, który zresztą stropił się, ujrawszy Murka.

Był to Stawski, znany w mieście niebieski ptak o złotych piórach. Niemal co roku bywał aresztowany lub poszukiwany przez policję, znikał, ukrywał się zagranicą, lecz zawsze wracał i zawsze od wszelkich zarzutów umiał się wykręcić. Posądzano go o przemytnictwo, o handel narkotykami, o różne oszustwa i kombinatorstwo, lecz niczego mu nie dowiedziono.

– O wilku mowa – zwrócił się z uśmiechem do Murka, połyskując złotymi zębami. – Uszanowanie panu doktorowi.

Murek niechętnie podał mu rękę. Dawniej w magistracie zbywał go kiwnięciem głowy. Teraz miał ochotę powiedzieć, że słyszał koniec rozmowy i że nie o nim, ani o wilku była mowa, lecz o Boczarskim i o świni. Powstrzymał się jednak, gdyż przemogła ciekawość.

– O mnie? – spytał. – Nie przypuszczałem, by moja osoba mogła być interesująca o tyle...

– Pan Leon Stawski – odezwał się pośpiesznie mecenas – wspominał właśnie, że pan doktor obejmuje jakieś poważne stanowisko w naszej skarbowości.

– To nieprawda – wzruszył ramionami Murek.

Zauważył przytem, że tamci dwaj zamienili szybkie spojrzenia. Stawski klasnął w ręce i, wkładając monokl w oko, powiedział:

– Ach, czego to ludzie nie wymyślą. No, na mnie czas. Moje uszanowanie panu doktorowi, padam do nóżek kochanego mecenasa. Cześć, cześć...

Po wejściu do gabinetu, Murek skonstatował, dlaczego nie dobiegał zeń żaden dźwięk. Drzwi były grubo obite i zasłonięte ciężką kotarą, ściany pokryte dywanami.

– Co za tupet ma ten wstętny żydziak – zaczął Boczarski, wskazując Murkowi krzesło. – Nie znoszę go organicznie.

– Przyjemny nie jest – powściągliwie bąknął Murek.

Mecenas widocznie uznał za niewystarczające swoje określenie, gdyż uważał za stosowne usprawiedliwić wizytę Stawskiego:

– Bronilem go kiedyś i dotychczas nie mogę od tego jegomościa odczepić się. No, tak. Los adwokata. A czemu to panu mogę służyć?

Murek przysunął swój fotel:

– Przychodzę do pana mecenasa i jako do adwokata i jako do człowieka, który przypadkowo był świadkiem początku moich nieszczęść. Czy przypomina pan mecenas sobie naszą rozmowę przed miesiąca, gdyśmy wracali wieczorem od państwa Horzeńskich?

– Owszem.

– A wie pan, że zostałem zwolniony z magistratu?

– Słyszałem o tem.

– Otóż postanowiłem powrócić na dawne stanowisko.

Wymówiono mi pracę pod pozorem redukcji. Okazało się

jednak, że przyczyną istotną były te oskarżenia, które miał rzucić na mnie Gąsowski. Oskarżenia od początku do końca, niezasadnione. Postanowiłem tedy obalić je. Lecz niepodobna walczyć z wiatrakami, gorzej, z próżnią. Właściwie nie mam pojęcia, co mi zarzucają. I dlatego przyszedłem do pana prosić o możliwie szczegółową relację z owego bankieciku, a następnie o radę, w jaki sposób wystąpić o rehabilitację.

Boczarski oparł się o biurko, ruchem przyzwyczajenia wyciągnął mankiety, zapalił papierosa i zapytał:

– A pan jest pewien, że jakiegokolwiek informacje nieprzychylne o panu będą przy bliższym i dokładniejszym sprawdzeniu pozbawione podstaw?

– Ręczę za to głową.

– Jest pan u adwokata. To jak u spowiednika. Tu ściany nie mają uszu...

– Nie wątpię, ale ja nic do ukrycia nie mam.

– Ha, tem lepiej – zgodził się Boczarski. – Więc w Klubie Urzędniczym mówiono wtedy tylko to, co panu powtórzyłem. Z tego niewiele da się wywnioskować. Osobiście wątpię, by Gąsowski zostawił Niewiarowiczowi polecenie usunięcia pana. To już była jego własna, że tak powiem, gorliwość. Nie mnie jednego zresztą zaskoczyła pańska dymisja. Przecie Niewiarowicz zawsze i głośno zachwycał się panem. I taka zmiana frontu. ...Stąd wnioskuje, że zarzuty musiały być poważne. Jeżeli chodzi o to, co mówią w mieście, a co od czasu do czasu obija mi się o uszy, to jedni twierdzą, że pan

kiedyś był zamięszany w jakąś aferę komunistyczną, inni, że na uniwersytecie był pan szefem bojówki faszystowskiej...

– Absurdy!

– Gdzie leży prawda niewiadomo, a dla pana, doktorze, najważniejsze, że to nikogo nie obchodzi.

– Jakto?

– Nie obchodzi. Tak, czy owak, czy był pan tem, czy tamtem, endeckim bojówkarzem, czy bolszewickim agitorem, to nie zmienia sprawy. Powiem panu więcej: łatwiej i wygodniej jest kogoś usunąć, niż doszukiwać się konkretnych przeciw niemu dowodów. Słusznie nazwał pan swoje zamiary walką z próżnią i jeżeli o mnie chodzi, a ja, panie, znam życie, radzę na to wszystko machnąć ręką i poszukać nowej posady. Otóż to, nowej posady zwłaszcza...

– Pan daruje, mecenasie – przerwał Murek. – Ale moje postanowienie jest nieodwołalne.

Boczarski uśmiechnął się:

– Ha, w takim razie, musi pan wydobyć z magistratu papier, w którymby sprecyzowano zarzuty przeciw panu.

– Niewiarowicz mi takiego papieru nie da.

– No, więc cóż pan może zrobić? Nie napisze pan przecie skargi do sądu ani do ministerstwa, że wydalono pana nieprawnie. Zarząd bowiem miasta ma niezaprzeczone prawo redukcji pracowników, o ile uzna to za potrzebne.

– Niewątpliwie, ale nie z powodu gołosłownych oskarżeń.

– Jakich oskarżeń? Ma pan je na piśmie? Nie, a zatem co pan

w skardze poda? Że po mieście chodzą takie a takie plotki?...
Drogi doktorze, przecie jest pan prawnikiem!

– Tak, muszę panu mecenasowi przyznać rację. Czy zatem nie ma sposobu?...

Boczarski zaczął kiwać się w fotelu:

– Sposób był jeden. Najprostszy. Zrezygnować z beznadziejnej drogi prawniczej i postarać się o to, by wojewoda, jako najwyższa władza polityczna, wpłynął na Niewiarowicza. O, ja wiem, że i ta droga nie należy do łatwych. Powinien pan wprost zwrócić się do wojewody. Całkiem prywatnie. Nie ze skargą wydalonego urzędnika miejskiego, lecz jako obywatel poszkodowany na honorze, uważa pan, na honorze, samem posądzeniem o nieprawomyślność. Jeżeli wojewoda uwierzy panu, wówczas znajdzie wiele możliwości wyświeślenia sprawy. Zaznaczam jednak jeszcze raz, że winien pan zwrócić się doń nie jako do dygnitarza, lecz jako do autorytetu, że tak powiem, moralnego. Rozumie mnie pan?

– Więc nie składać podania?

– Podania?! – Boczarski wybuchnął śmiechem. – Ależ niech pana Bóg broni! Iść osobiście.

Zaczął szczegółowo opisywać Murkowi, jak ma się odbyć jego posłuchanie u wojewody i co należy mówić.

Słuchał, przyznając, że ten Boczarski jest jednak spryciarzem i że w zupełności zasługuje na opinię zdolnego adwokata.

Bez żalu też zostawił na biurku monetę dziesięciozłotową, chociaż mecenas wzbraniał się przed przyjęciem honorarium za

taki drobiazg.

– A jak pan sądzi – zapytał Murek, gdy Boczarski zęgnął go w przedpokoju. – Przeprowadzę swoją sprawę pomyślnie?

– Wszystko jest w ręku Opatrzności – uśmiechnął się adwokat. – Niestety, Opatrzność w dzisiejszych czasach ma tak przepełnione ręce, że nigdy nie wiadomo, co i kiedy z nich spadnie. W każdym razie nie warto się przejmować, a jeżeli pomyśli pan o prywatnej posiadzie, może będę mógł coś dla pana znaleźć. Dowidzenia.

Przyjęcia w województwie odbywały się w środy i piątki. Wojewoda Łęk-Dornicki, niegdyś dowódca sławnej beskidzkiej dywizji, objąwszy przed trzema laty swój wysoki urząd, wprowadził własny system załatwiania tych petentów, którzy z jakichkolwiek powodów chcieli stanąć przed obliczem samego wojewody z pominięciem przepisowej drogi urzędowej. Entuzjastyczny wielbiciel staropolskiego obyczaju i tradycji piastowskich, dokupił zaraz na początku swych rządów położony za gmachem województwa ogród Joska Szapiry, kazał w pień wyciąć wszystkie drzewa, zostawiając tylko w środku jedno jedyne, starą rozłożystą lipę. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni pod tą właśnie lipą odbywały się zbiorowe audjencje u pana wojewody. Indywidualnych nie cierpiał. Pod pnem ustawiono ciężki dębowy zydeł dla wojewody, petenci, w liczbie kilkunastu, czy kilkudziesięciu otaczali go półkolem, poczem mieli przyjemność wysłuchania kilku ogólniejszych uwag o pogodzie, o urodzajach, o zdarzeniach ostatnich dni,

znanych już – niestety – z gazet. Czasem wojewoda, będąc w lepszym humorze, ubarwiał tę gawędę mniej lub bardziej popularnymi anegdotami, czy dowcipami, a zawsze nie szczędził własnych poglądów na wszystkie omawiane przez siebie sprawy, czy to miejscowe, czy krajowe, czy międzynarodowe. W ten sposób petenci mogli kształtować swój światopogląd zgodnie z najbardziej miarodajną opinią swego starszego przyjaciela i opiekuna, jak wojewoda lubił siebie nazywać.

Po takiej pogadance występowali kolejno interesanci, w zwięzłych słowach przedstawiali swoją rzecz, a wojewoda natychmiast wydawał decyzję, którą stojący za nim sekretarz zapisywał w notesie. W szczególnie rzadkich wypadkach wyznaczano powtórne posłuchanie w cztery oczy w gabinecie.

Podczas przyjęć pod lipą za okalającym ogródek parkanem gromadziła się zwykle spora liczba mniej zajętych obywateli, przeważnie młodzieży starozakonnej, którą w razie niesfornego i hałaśliwego zachowania się, rozpędzali dwaj dzielni policjanci. Z drugiej strony, w gęsto obsadzonych oknach gmachu wojewódzkiego, widniały rozradowane i uśmiechnięte twarze personelu urzędniczego.

Po wysłuchaniu ostatniego petenta wojewoda dawał znak i dwaj inni policjanci obchodzili półkole z dwoma w drzewie rzeźbionymi pudłami, częstując wszystkich papierosami, przyczem wojewoda bacznie przestrzegał, by nie ominięto nikogo.

W zimie z konieczności cały cercle przenosił się do wielkiej

sali wewnątrz gmachu, gdzie patryarchalną lipę zastępowała nieco wyleniała palma. To już było nie to. W zimie też wojewoda w gorszym bywał usposobieniu. Zamiast kremowej, czesuczowej marynarki lub siwej samodziałowej kurty i długich, palonych butów, zjawiał się w zwyczajnym ubraniu, bez sękatej laski, którą postaroświecku można było, wbiwszy ostrym końcem w matkę-ziemię, podeprzeć się z biodra, a przedewszystkiem bez nastroju. Brak szerszego audytorjum i fatalna akustyka wysokiej, niemal kościelnej sali sprawiały, że zbiorowe posłuchania przypominały raczej równie dawnowieczną, lecz mniej atrakcyjną publiczną spowiedź powszechną. W dodatku i policjanci nie zawsze zdążyli tu na czas pozdejmować, lub poodwracać do ściany tabliczki z napisami: „Palenie surowo wzbronione”.

Toteż i petentów w zimie bywało mniej, niż zazwyczaj. Murek zastał w sali sześć osób, a po nim przyszły tylko cztery. Znał prawie wszystkich. Było kilku ziemian z odleglejszych powiatów, błotwicki hotelarz Majeran, osadnik wojskowy, kapitan Dorsz, dwaj chłopci w kozuchach i jakaś paniusia w wypłowiałem paletku i staromodnym kapeluszu.

Dr. Murek liczył na to, że wojewoda po znajomości nie odmówi mu osobnej audjencji. O to też tylko chciał prosić. Wyłuszczenie podobnej sprawy przy wszystkich byłoby niemożliwością. Wiedział jednak, że trafiwszy na zły humor wojewody – nic nie wskóra.

A wojewoda, jak na nieszczęście, wszedł pochmurny i zamyślony. Zdawał się nikogo nie spostrzegać, chociaż

rzucił swoje głośnie: „Witajcie”. Mruknął odniechcenia kilka zdań o mrozie i kradzieżach w lasach państwowych, paru słowami załatwił się ze zbrojeniami morskimi Japonji i przystąpił do wysłuchania petentów. Na pierwszy ogień poszła paniusia, której chodziło o jakieś komplikacje z wdową rentą inwalidzką, po niej hotelarz skarżył się na przodownika, który go gnębi mandatami karnymi, gdyż „ma ciągle przyczepienie do mojej rodowitej żony, a una nie może na to patrzeć spokojnie”. Wśród ogólnej wesołości, wywołanej tą romantyczną historją, sekretarz zanotował krótką decyzję: „Dochodzenie dyscyplinarne. Przedłożyć”. Jeden z chłopów prosił o ulokowanie w szpitalu brata, „który jest warjant”, drugi „dopraszał się łaski, żeby pan prezydent, albo jaki minister trzymał do krztu trojaczki, co się mojej babie przytrafiły”. Jedni przyszli ze skargami, inni z prośbami, inni z projektami.

Murek rozmyślnie uplasował się ostatni w półksiężycu i gdy przyszła nań kolej szybko wyłożył swoją prośbę, mówiąc wyraźnie, dobitnie, tonem żołnierskiego meldunku. Wojewoda Łęk-Dornicki ceniał w podwładnych taki ton i ilekroć w ten sposób doń się zwracano, zaraz przechodził na „wy”, co było oznaką większej konfidencji z podwładnym. Dr. Murek zresztą sam lubił tę formę, przypominającą wojskowy ład, karność i poczucie hierarchji. Nieraz, jako gospodarz Świetlicy, jako delegat zarządu tej czy innej organizacji społecznej, lub już całkiem służbowo, w charakterze reprezentanta magistratu, miał możliwość stykania się z wojewodą, którego poważał, szanował

i podziwiał, jako znakomitego administratora, dygnitarza łaskawego, lecz pełnego dostojęstwa, człowieka z otwartą głową, tępiącego nadużycia i biurokracyzm. Wojewoda bowiem sływał, jako pogromca formalistyki biurokratycznej i sam przy lada okazji to podkreślał.

Wysłuchawszy Murkowego meldunku, podniósł wysoko brwi i przechylił głowę:

– Nie widzę powodu, by robić wyjątki. O co panu chodzi?

– Sprawa ściśle osobista, panie wojewodo – resztę oddechu wy dobył z siebie Murek, zbity z tropu tem, że wojewoda zwrócił się doń „per pan”.

W głosie wojewody zabrzmiało zniecierpliwienie:

– Każdy ma sprawę osobistą. Słucham?

Murek czuł krople potu występujące na czoło. Jedno nieszczęsne słowo i wszystko przepadło.

– Ale tu... tutaj... jest podłoże polityczne...

Wszyscy nastawili uszy, lecz wojewoda bez namysłu kiwnął głową:

– Dobrze. Za... – spojrzął na zegarek. – Za dwadzieścia pięć minut wezwie pana do mnie pan sekretarz. A teraz proszę, kochani państwo, papierosika!

Dwaj policjanci kopnęli się żywo, obnosząc pudła z papierosami. Murek swego długo nie mógł zapalić, bo ręka mu drżała. Gdy jednak ściśle w określonej minucie wprowadzony został do gabinetu, zdążył się już uspokoić.

– Proszę siadać i mówić – wskazał mu miejsce wojewoda.

Murek niemal napamięć miał przygotowaną swoją skargę. Zwolniono go bez podania powodów, a tymczasem głośno mówi się, że zarzuca mu się nieprawomyślność. Otóż jest to niecne oszczerstwo. Murek w ciągu całego swego życia nie zrobił nic, co by mogło nasunąć cię podobnego podejrzenia. Wszystko da się sprawdzić, zbadać, przeprowadzić najdrobiazgowsze śledztwo. Murek błaga o to, jak o łaskę. I nie zwraca się do pana wojewody, jako do reprezentanta władzy, lecz jako do najwyższego autorytetu moralnego...

Wojewoda słuchał uważnie i cierpliwie. Gdy Murek skończył, wojewoda uderzył dłonią w biurko:

– Dobrze, panie doktorze. Powiem panu, że i ja słyszałem o tych zarzutach. Ale nim cośkolwiek postanowię, chcę wiedzieć prawdę. Czy może mi pan dać słowo honoru, że oskarżają pana niesłusznie?

– Daję słowo honoru, panie wojewodo – powiedział uroczyście Murek, unosząc się z krzesła.

– Dobrze. Wierzę panu. A teraz proszę uważać. Niemożę rozkazywać prezydentowi Niewiarowiczowi w kwestjach personalnych. Nie mam prawa. Nie mogę też prywatnie naciskać go w pańskiej sprawie, bo sam wykorzeniam protekcję. Ale obowiązek mi nakazuje wyświecić rzecz całą. Słusznie i trafnie zauważył pan, co jest świadectwem pańskiego państwowego myślenia, że Prezydent Rzeczypospolitej, mianując mnie wojewodą, w imieniu narodu i państwa złożył w moje ręce nie tylko władzę, lecz i autorytet moralny. Otóż, jako stróż

moralnych dóbr narodu i państwa na swoim odcinku, winienem dbać, by nie została zmarnowana część tych dóbr, jednostka wykształcona, uczciwa i pożyteczna. Zrozumiano?

– O panu, jako o urzędniku i jako o człowieku, miałem najlepszą opinię. Zdolnych, uczciwych i przydatnych ludzi jest mało, bardzo mało i społeczeństwu, narodowi, państwu brak ich ciągle. Nic dziwnego, w dziedzinie materiału ludzkiego prowadzi się gospodarkę rabunkową. Ra-bun-ko-wą! A to jest najgorsze szaleństwo. Ludzi odpowiednich wyrzuca się na bruk, a idą w górę lizusy, hemoroidziarze i inne pierdzistołki. Administracja, skarbowość, samorządy, wszystko obsadzone jest nie ludźmi z męską inicjatywą, lecz kastratami, eunuchami, niezdolnymi do twórczego, radosnego rozmachu. A państwo nie może zmienić się w rupieciarnię paragrafów, biurokratyczną łamigłówkę, w ciuciubabkę dla pierdzistołków, w której każdy z za swego papirku pokazuje drugiemu język i woła „akuku”. Zawsze to mówię. Ale to nie ma nic do rzeczy. Więc co to pan chciał? ... Aha! Zatem jest tak: każę sprawę zbadać, pana prezydenta Niewiarowicza rozpytam. Zostawi pan u mego sekretarza, pana Landy, swój adres, w ciągu trzech tygodni wezwę pana. Zrozumiano?

– Tak jest, panie wojewodo.

– Nic nie obiecuję, niczego nie przyrzekam, ale osobiście rzeczy dopilnuję. Oto wszystko. Czy mogę jeszcze czem służyć panu?

Murek ze łzami w oczach zerwał się z miejsca, obtarł wilgotną

dłoń o ubranie i tak nisko pochylił się, ściskając rękę wojewody, jakby zamierzał ją pocałować. Zresztą zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością.

Przez całą godzinę, czekając w korytarzu na przyjęcie u sekretarza Landy, wciąż powtarzał sobie półgłosem:

– Wojewoda! Oto człowiek! Oto dygnitarz!

Pełen był jak najlepszych nadziei. Nie popsuł mu nawet humoru fakt, że po przeszło godzinnem oczekiwaniu dowiedział się od woźnego, że pan sekretarz już dziś, jako po godzinie pierwszej, nikogo nie przyjmie.

Zgłosił się nazajutrz. Tym razem musiał wypełnić karteczkę meldunkową, rodzaj przepustki i w kolejce został wywołany. Landy zanotował sobie adres Murka.

– Czy w magistracie – zapytał – jest pańska ewidencja, curriculum vitae i t. d.?

– Naturalnie.

– No, to dobrze. Ech... znowu pisaniny będzie. Niech pana bogi pokochają, doktorze. Będę musiał nową teczkę założyć dla pańskiej sprawy. I to właściwie nie mam pojęcia, do którego skorowidza ją wciągnąć? To wcale nie należy do naszej kompetencji. Stary nie ma nic lepszego do roboty!...

Murek uśmiechnął się pojednawczo:

– A cóż ja miałem zrobić?

– Czy ja wiem – wzruszył ramionami Landy – skarga do sądu, zabiegi w policji politycznej... Hm... W każdym razie niech pan złoży mi podanie. Przecie musi być jakaś podstawa

postępowania. Sprawa nie może zacząć się ot tak, z powietrza. Stary wprowadziłby tu taki chaos, że choć łbem wal o ścianę.

– Więc złożę jeszcze dziś podanie. A czy trzeba ostemplować?

Landy aż podskoczył na fotelu:

– No, oczywiście! I pan jest doktorem praw, byłym urzędnikiem samorządowym, a o takie rzeczy pan pyta! Znaczek stemplowy za trzy złote.

Rozmowa z sekretarzem tylko nakrótka zachwiała optymizmem Murka. W gruncie rzeczy przyznawał mu rację. Sam zawsze był zwolennikiem bezwzględnego porządku i ścisłego przestrzegania przepisów. Sam wygląd Landy sprawiał Murkowi przyjemność. Tak powinni wyglądać wszyscy urzędnicy: schludnie, poważnie, godnie. U dygnitarzy już inaczej. Na wyższych szczeblach dopuszczalna, a nawet potrzebna jest indywidualność. Naprzykład, minister, albo wojewoda, a chociażby prezydent miasta. Każdy z nich musi czymś się wyróżniać...

Przypomniał sobie Niewiarowicza. No, ten będzie miał minę, gdy wyrzucony przezeń Murek wróci do magistratu. A wróci triumfalnie, wielokroć mocniejszy, niż dawniej. Niewiarowicz upokorzony, będzie musiał przeprosić. Ale mało tego. Murek już potrafi wówczas dać mu do zrozumienia, kto kogo naprawdę trzyma w rękę. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Dr. Murek przymykał oczy i widział nadchodzący dzień swego powrotu. Jalcza, Więcek i wszystkie te pieski, które

odwróciły się doń z chwilą dymisji ogonami, zaczął skakać na dwóch łapkach. W mieście, w innych urzędach, też nastąpi pierwszoklasna konfuzja...

A u Horzeńskich?... Tu, niestety, nie można było spodziewać się radykalnej zmiany nastroju. Teraz, kiedy wyszło najaw, o co Horzeńskiemu chodziło i na co miał nadzieję, po brutalnym zachowaniu się przyszęgo teścia, dr. Murek nie spodziewał się powrotu dawnych, wprawdzie chłodnych, lecz poprawnych stosunków. Może to zresztą i lepiej. Po rozparcelowaniu Fastówki Horzeńskim zostanie niewielki kapitalik. Wyżyć – wyżyją, ale oczywiście nie na dotychczasowym poziomie. Niechże między nimi a zięciem nie będzie uczuć rodzinnych. Tem lepiej dla zięcia... Ani przez chwilę Murek nie zwątpił w Nirę. Ona nie da się przekabacić, a zbyt mało liczy się z wolą rodziców, by zdecydowała się przekreślić swoje uczucia do narzeczonego z tej jedynej racji, że zawiodły nieuczciwe projekty finansowe ojca.

Widmo nowej zwłoki w wyznaczeniu daty ślubu rozwiewało się dzięki audjencji u wojewody. Murek był pewien, że najdalej za miesiąc wróci na poprzednie stanowisko. Tak w to wierzył, że poszedł do zakładów stolarskich i opłacił zwykłą ratę za zamówione meble. Umówił się tam też co do sprowadzenia z Czolnów i odrestaurowania tych antyków czolnowskich, które już faktycznie były jego własnością.

Głównie też z zamiarem porozumienia się w tej sprawie poszedł któregoś dnia do willi na Wielką. Liczył też i na

rozmowę z babunią, zamierzając prosić staruszkę, by napisała do Warszawy w celu przyśpieszenia powrotu córki i wnuczki.

Ku swemu zdziwieniu i radości dowiedział się od lokaja, iż panie właśnie przyjechały popołudniowym pociągiem.

– Ale niech pan doktor lepiej innym razem będzie łaskaw, bo teraz państwo chyba nie przyjmą.

Dopiero teraz Murek zauważył przestraszony wzrok lokaja, nieład w przedpokoju i rozbitą szybę w drzwiach do salonu. Skądś, z dalszych pokoiów dobiegał hałas przewracanych mebli, gwar wielu głosów i krzyki.

– Co się tu stało?! – zapytał przerażony.

Służący machnął rękami:

– Cały dom rozwałą. Złapała go z tą rudą, co to niby do rachunków przychodziła. Stary, a głupi. Drzwi od gabinetu nie mógł zamknąć. Ale to i dobrze, należało mu się. Ludziom od roku zalega, a w tę rudą to pchał drań forszę...

– Ale kto?

– No... jaśnie pan. Starsza jaśnie pani to chyba wykituje z tego wszystkiego...

Przeraźliwy spazmatyczny krzyk kobiecy ostrym piskiem rozległ się gdzieś bliżej:

– Morderca! Ratunku!... Morderca...

Murek rzucił na ziemię kapelusz i skoczył przez otwarte drzwi. W hallu na środku leżał wywrócony wielki fotel i stolik z porcelaną. W gabinecie na ciemnym dywanie widniały rozrzucone części męskiej i kobiecej garderoby. Pod obcasami

zatrzeszczało szkło rozbitej lampy. Przez palarnię Murek wpadł do buduaru, gdzie na podłodze kłębiło się kilka osób. Chrapliwy bas Horzeńskiego charczał urywanie:

– A masz, a masz, a masz... wiédźmo, masz...

Czyjaś głowa miarowo uderzała o podłogę...

– Złodziej, morderca!... – pisał kobiecy głos.

Z przewalającej się kupy sterczały gołe kosmate i chude nogi Horzeńskiego. Jedną z nich ciągnęła oburącz marszałkowa Radecka, której siwe włosy prawie zakrywały twarz. Pokojówka Milcia walczyła w środku, gdzie w strzępach różowej koszulki z twarzą ociekającą krwią, leżała nawznak owa ruda, do której przywarła pani Horzeńska. Jej mąż usiłował oderwać jej ręce od ofiary, a ciotka Leokadja biła go popielniczką po głowie. W pewnej chwili Horzeński wierzgnął nogą i marszałkowa Radecka, niczem wyrzucona z katapulty, przemknęła z nieludzkim krzykiem obok Murka i uderzając całym ciężarem o misterne biurczko w rogu pokoju, legła z trzaskiem w jego gruzach.

Murek, szybko zorientowawszy się w sytuacji, zrzucił palto, przeskoczył przez Milcię i upatrywszy dogodny moment, chwycił pod ramiona rudą pannę. W następnej chwili, zapewniwszy sobie równowagę w rozstawionych nogach, – szarpnął z całej siły. Piekielny wrzask towarzyszył temu cesarskiemu cięciu. W rękach pani Horzeńskiej zostały dwie smugi rudych włosów, ciotka Leokadja przewróciła się, a Horzeński zsunął się z pleców żony, lecz winowajczyni całego

zajścia stała już bezpiecznie za plecami Murka.

– Bandyci! Zabili... Zabili mnie!... – rozpaczliwie darła się z kąta marszałkowa Radecka spod stosu zmasakrowanego biureczka, wyciągając ku niebu ręce, czarne od atramentu.

– Proszę się uspokoić! Proszę państwa!... – zdyszczanym głosem usiłował przekrzyczeć ich Murek.

– Ja tę dziewczkę uduszę! Łajdaczka! – wypiskiwała histerycznie pani Horzeńska, siedząc na podłodze w podartych karakulach, z głową karykaturalnie zmierzwioną, potrząsając kurczowo zaciśniętymi pięściami.

– Ciebie uduszę, ty wiedźmo! – rzucił się do niej znowu mąż, straszny i śmieszny w poszarpanej górze od pidżamy, z wielką czerwoną pręgą przez policzek i z kłakami włosów na piersi.

Na szczęście przytomna pokojówka zagrodziła mu drogę i pchnęła na tapczan, aż jęknęły sprężyny. Na karku widniała napuchnięta rana, z której cieniutką strużką ciekła krew.

Murek uznał za najlepsze natychmiastowe usunięcie obiektu awantury. Ruda panienska trzymała się kurczowo jego ramienia, skulona i rozdygotana.

– Niech pani idzie tu – pociągnął ją do sypialni, a stąd do łazienki. – Proszę obmyć krew. Zaraz przyniosę pani ubranie.

– Ja się boję! – jęknęła. – Ja się boję, niech pan nie odchodzi!

Wyglądała okropnie. Twarz podrapana ociekała krwią, resztki kombinezki żałośnie zwisały z jednego ramienia. Pełne obwisłe piersi i duży okrągły brzuch pokryty siecią niebieskich żyłek, również nosiły liczne ślady walki.

– Jakie to szczęście – przemknęło Murkowi przez głowę, – że Nira nie widziała tego wszystkiego. Gdzie ona może być?... Może gdzie leży zemdlona!

Nawinał się właśnie lokaj, któremu kazał odszukać garderobę panny. W buduarze był już spokój. Pani Horzeńska, zanosząc się spazmatycznym łkaniem, doprowadzała przed lustrem swój wygląd do jakiego-takiego porządku. Jej męża już nie było. Musiał wynieść się do gabinetu. Ciotka Leokadja cuciała w kącie marszałkową Radecką. Murek przypomniał sobie pociętu wszedł: chodziło o palto. Podniósł je z podłogi, strzepnął i właśnie rozejrzał się za bezpiecznym miejscem, gdzieby je ulokować, gdy w drzwiach stanęła babcia Horzeńska. Oparta na swojej laseczce i blada, jak papier, zwróciła się jednak do Murka z uśmiechem:

– Dobry wieczór, panie Franku. Proszę mi wybaczyć, że w moim domu...

Głos zadrżał i już Murek przestraszył się, że staruszka straci przytomność. Ona jednak opanowała się i dorzuciła jednym tchem:

– Dziękuję. Proszę, Nirę znajdzie pan w jej pokoju.

Nic nie odpowiedział, tylko serce mu się ścisnęło litością i podziwem dla tej staruszki. On sam, młody i zdrowy, pomimo silnych nerwów, czuł się zupełnie wytracony z równowagi. W pierwszych chwilach działał nie myśląc, zrobił to, co zrobiłby instynktownie w każdej podobnej sytuacji. Teraz jednak nie umiał przywołać się do przytomności, zrozumieć, co właściwie

zaszło i jaką on sam w tem rolę odegrał. Ogarnął go nagle wstyd za tych ludzi, uczucie wstrętu, podobne do tego, jakie miał już raz, kiedy jeden z kolegów biurowych ukradkiem wybierał mu z szuflady papierosy. Czuł się tak, jakby w jego oczach zostało zdemaskowane jakieś nędzne oszustwo, jakby odkrył falsyfikat w tem, co cenił, co chciał cenić. A jednocześnie gdzieś pod krtanią łaskotała go potrzeba śmiechu. Przykrego, złego śmiechu.

Minął się w korytarzyku z rudą dziewczyną, którą służący dość bezceremonjalnie popychał ku kuchennemu wyjściu. Zapukał do drzwi Niry. Nie było odpowiedzi, wobec czego nacisnął klamkę. Leżała na tapczanie, oparta na łokciach i czytała książkę.

– No, jakże tam? – zapytała, nie odwracając głowy – życie rodzinne kwitnie?

– To ja – powiedział Murek – dobry wieczór pani.

Zerwała się i usiadła:

– Pan?... A pan skąd się tu wziął?

– Właśnie przyszedłem niedawno...

– W samą porę! – wybuchnęła głośnym śmiechem.

Podciągnęła nogi i zakryła je brzegiem różowego szlafrocza. Na włosach miała siatkę, która, zapinając się pod brodą, podkreślała śliczny owal jej twarzy. Rozjarzone śmiechem oczy paliły się czarnym ogniem. Wydała mu się nieprawdopodobnie i niewiarygodnie piękna, najdroższa i najbardziej upragniona.

– Przyjechała pani! – chwycił jej rękę i wśród pocałunków

powtarzał: – Przyjechała! Moja ukochana! Przyjechała... Tak tęskniłem...

Lekko wyswobodziła dłoń z jego rąk:

– No dobrze, dobrze, ale niech mi pan powie, czy tamci już wszyscy w szpitalu?

– Którzy tamci? – zdziwił się szczerze.

– No, moja kochana rodzinka!

Zasepił się:

– Rzeczywiście, bardzo... bardzo przykre... Pani słyszała?

Z irytacją odsunęła książkę:

– Czy słyszałam! Cała dzielnica musiała słyszeć. Mama jest zupełnie niepoczytalna! Czy to pan pisał ten anonim?...

Murek aż oniemiał.

– No, mnie pan może się przyznać. Pan pisał?

– Jaki anonim?

– Niechże pan nie udaje – zniecierpliwiła się. – Babcia pisała, że tatuś zrobił panu brutalną scenę, a zaraz po liście babci przyszedł ten anonim o tatusiu i jego... złotowłosej amantce. Muszę panu przyznać, że to było szatańsko zręczne posunięcie. Nie podejrzewałam pana o tyle dyplomatycznych zdolności: jednym zamachem zemścić się na tatusiu, zdyskredytować go i zmusić matkę, a zatem i mnie do powrotu.

– Myli się pani – potrząsnął głową – nigdy w życiu nie napisałem żadnego anonimu. I zdaje mi się, że niczem też nie dałem pani, panno Niro powodów do posądzenia mnie o taką podłość.

Wzruszyła ramionami:

– Ach! Podłość! Lubi pan nadużywać mocnych słów. Może nie pan pisał, ale pan to zaaranżował. Mama, gdy przeczytała o zastawieniu jej brylantów, wpadła w istny szal. Bałam się, że nasz dom musi teraz przypominać scenę teatru z ostatniego aktu „Hamleta”. Same trupy. Co?

– Jakie to szczęście, że pani tego nie widziała!...

– O, nie. Podobne widowisko może być interesujące, ale jeden raz. Gdy powtarza się częściej, zaczyna nudzić. Wykąpałam się tymczasem i jak pan widzi, usiłowałam czytać, o ile odgłosy życia rodzinnego na to pozwalały.

Murek posmutniał. Był przekonany, że Nira nadrabia miną, by nie okazać, jak wstydzi się za swoich, lecz dotknął go ten sarkastyczny ton.

– Panno Niro – odezwał się. – Niech pani nie udaje cynizmu. Proszę mi wierzyć, że w pełni współczuję z panią, że dla mnie to... to zajście jest równie bolesne...

– O?... Bolesne? Czyżby i pan przytem oberwał jakiegoś guza? – zaśmiała się swobodnie.

Murek zmarszczył brwi:

– Powtarzam, że nie do twarzy pani z tym tonem. Wiem doskonale, że pani cierpi. Drwinami tego się nie zakryje. Musi pani kochać i rodziców i dom... ognisko...

Nira wyprostowała się, jej oczy zwężyły się i błysnęły gniewem:

– Kochać?... Kochać?... Ja nie cierpię ich! Słyszysz pan, nie

cierpie! Duszę się w tym domu! Ze wstrętem oddycham tem powietrzem. Czy pan nie widzi, że jestem młoda, chcę życia, chcę szczęścia, chcę prawdziwego zła i dobra, nawet cierpień, nawet krzywd, ale prawdziwych, bujnych, żywiołowych! A tu jest trupiarnia! Dogorywanie! Tu niema żadnego ogniska, tylko sterta nawozu, tlejąca w zaduchu hipokryzji!... To wszystko jest skazane na zagładę! Co mnie może łączyć z tem roślinnem dogorywaniem, z tem... z tem... próchnem!...

Zerwała się i oburącz chwyciła się za głowę:

– O, Boże, Boże! Ja muszę stąd się wydostać, ja muszę oderwać się od tego! Nie dam się wessać w to grzęzawisko! Nie dam się! I wyrwę się, słyszy pan, wyrwę się za wszelką cenę!

Stała przed nim, drżąca z gniewu i buntu.

– Nie zniosę tego dłużej, duszę się!

Ogromna radość ogarnęła Murka. Na początku trochę przestraszony jej wybuchem i pogardą, z jaką mówiła o własnej rodzinie, teraz widział tylko jedno, prostą konsekwencję: ona chce czempredzej rozstać się z domem, a zatem wyjść za niego, zacząć nowe życie.

– Niro, szczęście moje! – wyszeptał w największem rozczuleniu. – Zabiorę cię, tak, zabiorę panią stąd, jak najprędzej...

Murek, sam bliski łez, łagodnie i tkliwie objął ją i nieznacznym, delikatnym ruchem dłoni głaskał jej ramię.

– Zabiorę cię – mówił półgłosem. – Już niedługo. Będziemy mieli własny dom, własne ognisko, własne szczęście. Dla

ciebie, tylko dla ciebie będę żył... Gotów jestem i umrzeć dla ciebie. Niro, mój najdroższy skarbie, moja kochana, pokrzywdzona królowno... No, nie płacz już... Nie płacz... Za każdą z twoich łez oddałbym całą swoją krew. Tylko troszkę cierpliwości. Wszystko będzie słonecznie i dobrze... Już prędko... Rodzice muszą się zgodzić na przyśpieszenie ślubu. Zgodzą się, zobaczysz. Nie mają prawa więzić mojego rajskiego ptaka... Już niedługo...

Zdawała się uspokajać pod wpływem jego słów, co rozrzewniło go jeszcze bardziej. Zniżył głos i mówił szeptem, tuż przy jej głowie:

– To prawda, że narazie nie możemy jeszcze się pobrać, ale to kwestja kilku tygodni, miesiąca... Moja redukcja zostanie cofnięta. Wrócę do magistratu na dawne stanowisko. Sam wojewoda tem się zajął. A gdy będę miał zapewnioną stałą pensję, gdy wrócę do magistratu, wtedy już nic...

Stanowczym ruchem uwolniła się z jego objęć.

– Boże! – powiedziała zniecierpliwionym, lecz już spokojniejszym głosem. – Niechże mi pan da święty spokój z tym swoim magistratem!...

Murek zaniepokoił się: chyba powiedział coś bezsensownego, czy popełnił jakiś nietakt? Odrazu stracił pewność siebie i patrzył na nią skonfundowany. Nira tymczasem ocieężałym ruchem, jakby zmęczona, zapaliła górne światło, wyjęła z szafy suknię i jeszcze jakieś szczegóły garderoby i za parawanem zaczęła się ubierać. Nie wiedział, czy ma wyjść, czy zostać,

a bał się pytaniem sprowokować nieprzychylną odpowiedź. Stał i czekał. Po chwili wyszła w długiej wieczorowej sukni i, usiadłszy przed lustrem ze skupioną uwagą, zdejmowała siatkę, pieczołowicie i długo układała poszczególne pasma i fale włosów, połyskujących na zgięciach miedzią, potem jakimś kremem zlekka wytarła twarz, przyczesła brwi i, westchnąwszy, powiedziała:

– Proszę mi wybaczyć, panie Franku, stan moich nerwów.

– Ależ...

– Nie jestem histeryczką, ale nie wiele do tego brakuje.

Mówmy o czymś innym. Cóż pan porabiał?

– Ja? – uśmiechnął się. – O, to nic ciekawego. Może pani mi lepiej powie, jak spędzały panie czas w Warszawie?

Niechętnie i jakby z przymusem mówiła o krewnych, o znajomych, o teatrach, o modzie i cenach futer, o restauracjach i dancingach. Stopniowo wspomnienia warszawskie ożywiły ją, nawet zaśmiała się kilka razy. Miał ogromną ochotę zapytać, czy widywała Junoszyca, lecz póty to odkładał, aż zapukano do drzwi. Wszedł służący:

– Jaśnie pani starsza prosi do stołu – zameldował.

Murek spojrział nań zdumiony, potem pytająco na Nirę. Nie przypuszczał, by po tej potwornej awanturze, kolacja miała odbyć się normalnie. Zwłaszcza swoją obecność uważał za nieodpowiednią i chciał Nirę pożegnać, lecz lokaj pośpieszył zaznaczyć, że jaśnie pani starsza koniecznie prosi i pana doktora.

Gdy niechętnie i zażenowany za Nirą wchodził do jadalni,

byli tam już wszyscy, nie wyłączając pana i pani domu. Jak zwykle tutaj, ubrani wieczorowo, nieco uroczyści i uprzejmi. Mogłoby się zdawać, że w tym domu nic nie zaszło, że ci ludzie wogóle nie byliby zdolni nawet do podniesienia na siebie głosu. Gdyby nie wyraźne, choć zapudrowane, lub pozaklejane plasterkami ślady bójk, Murek sam zwątpiłby w to, co widział na własne oczy zaledwie przed dwiema godzinami. No, i rozmowa nie dawała się nawiązać, mimo usilnych zabiegów babci. Tylko głuchy pan Salwator, stryj pana domu, zdradzał wyśmienity humor, gadając bez przerwy. Musiał nie słyszeć awantury i nic o niej nie wiedzieć, gdyż raz po raz zwracał się do jej uczestników z dowcipami, anegdotkami i żarcikami na temat szram i sińców. Bawił się tem znakomicie i był sobie rad.

Na Murku zrobiło to wszystko razem makabryczne wrażenie. Wracając do domu, obiecał sobie dwie rzeczy: jak najprędzej wyrwać Nirę z tego domu i rozstać się z Karolką. Już wówczas, gdy Nira płakała, przeklinał w duchu swoją słabość, to, że uległ pokusie i że plamił swoją miłość brudnym i niegodnym uczciwego człowieka stosunkiem fizycznym.

Nazajutrz, gdy przyszła Karolka, usiłował wytłumaczyć jej stan swego sumienia. Zrozumiała tylko, że ją odpędza, a chociaż nie przejęła się tem zbyt, chlipała prawie pół godziny, dając Murkowi do zrozumienia, że gdyby mu się coś odmieniło, zawsze gotowa jest do powrotu.

Jeden po drugim mijały dni, dręczące bezczynnością. Prawie codzień widywał się z narzeczoną, a pewien swego rychłego

powrotu do magistratu, chodził po mieście ostentacyjnie uśmiechnięty i z podniesioną głową, zwłaszcza towarzysząc pannie Horzeńskiej. Może dlatego, a może przez zwykłą ciekawość, zatrzymywali go teraz częściej znajomi, wypyując o zamiary na przyszłość, a mimochodem starając się dowiedzieć coś bliższego o awanturze u Horzeńskich, o której opowiadano niestworzone rzeczy. Służba musiała roznosić plotki, a te wykoszlawiały i bez tego przykrą prawdę do rozmiarów niemal zbrodni. Życie jednak potoczyło się wkrótce dawnym trybem i już nie mogło być mowy o zamordowaniu w willi na Wielkiej owej rudej panienci, gdyż kilka osób widziało ją na własne oczy w separacie w restauracji Wiecheckiego i to z Horzeńskim.

Tymczasem minął zapowiedziany przez wojewodę termin i Murek zaczął nachodzić sekretarza Landę, by dowiedzieć się o losie swojej sprawy. Ten jednak nie chciał, czy nie umiał nic powiedzieć i skończyło się na tem, że trzeba było znowu udać się do samego wojewody.

Na piątkowym zbiorowym przyjęciu, na które Murek przyszedł pełen najlepszych nadziei, wojewoda na szczęście był w doskonałym usposobieniu. Dobrodusznie przemówił za zgodą między obywatelami różnych wyznań, wskazał na nieistotność rozbieżności rasowych i klasowych, które już z odległości księżycy muszą być niedostrzegalne, a co dopiero z takiego naprzykład gwiazdozbioru Wielkiej, czy nawet – przypuśćmy – Małej Niedźwiedzicy. Po kilku hipotezach astronomicznych i muśnięciu sprawy przyszłych stosunków

międzyplanetarnych, przeszedł od razu do wysłuchiwania petentów i łaskawie większość spraw zadecydował przychylnie, gdy jednak uśmiechnięty zwrócił się do Murka, wyraźnie spoważniał:

– A, pan doktor Murek. O cóż panu chodzi?...

Nim jednak Murek zdążył coś powiedzieć, wojewoda zmarszczył brwi i zawołał:

– Przypominam. Tak, tak. Otóż panie doktorze, zbadałem pańską skargę. Zbadałem, i przykro mi bardzo, że wprowadził mnie pan w błąd.

– Ja, panie wojewodo... – zaczął Murek.

– Pan – ostro przerwał wojewoda. – Co pan doktor sobie wyobraża, ja nie wiem. Zaprzęta pan swoją osobą województwo i ministerstwo, jakby wszystkie najwyższe instancje administracyjne nie miały nic innego do roboty, jak zajmować się pańską przeszłością polityczną.

– Ależ, panie wojewodo, ja nie mam żadnej przeszłości politycznej! – prawie krzyknął w rozpacz Murek.

Wojewoda skrzywił się:

– Ma pan, czy nie, to jest obojętne. Gdyby pan miał antypaństwowe grzechy na sumieniu, zostałby pan oddany sądom. A skoro ich pan nie ma, lub obciążają pana rzeczy niekaralne, nikt pana z tego powodu usunąć z posady nie miał prawa. Zrozumiano?... W państwie jest prawo. Pan wie, co to jest prawo?... Praworządność! Każdy obywatel temu prawu podlega. Ono wskazuje mu jego obowiązki i jego uprawnienia.

Może pan znajduje, że to nie jest słuszne, ale ja jestem przeciwnego zdania, panie doktorze Murek. I skąd do licha, ubrdał pan sobie, że zwolniono pana z powodów politycznych? ... Czy to nie manja wielkości! Do stu djabłów! Ministerstwo nic o tem nie wie. Zarząd miasta wyraźnie i w urzędowym piśmie stwierdza, że zwolniono pana wskutek zwyczajnej redukcji. Pan prezydent Niewiarowicz osobiście to potwierdza. A pan, pan ma widocznie jakieś niezdrowe ambicje, jakieś chorobliwe przywidzenia. Czy panu się zdaje, że ja, jako wojewoda, nie mam nic lepszego do roboty, niż zajmowanie się pańskimi fantazjami?.. Niech się pan opamięta, panie doktorze Murek!...

Wojewoda skończył, zmrużył nerwowo powieki i odwrócił się do następnego interesanta.

Schodząc po szerokich schodach, Murek napróżno usiłował zebrać myśli. Jedno wiedział: – Przegrana. Spadło to nań, jak obuch, i przyćmiło zdolność zdawania sobie sprawy z przyczyn i szczegółów poniesionej klęski. Do późnego wieczora leżał na łóżku, przykrywszy się wraz z głową paltem.

Obmierzło mu nagle wszystko. Ogarnęła go taka apatja, że gdyby bodaj pożar wybuchł w domu, nie miałby ochoty ruszyć się z miejsca. Stopniowo, zwolna krystalizowała się świadomość krzywdy, krzywdy, wobec której był bezsilny. Krótco jednak poddawał się rozrzewnieniu nad własną bezsilnością. Pięści same zaczęły się zaciskać, a krew napływała do mózgu. Wiedział dobrze, co mu nakazywała zrobić jego natura. Przed oczyma, jak żywy stanął obraz lat dziecinnych. Na rynku w miasteczku tłum

ludzi, a w środku Mikoła Bacel, gospodarz z Ławrynówki, kum ojca, bosy, w parcianych portkach, z dyszlem w obu rękach, a na dyszlu krew, a na ziemi, w kałuży brodaty Judka, co po wsiach jeździł za bydłem, i ziandar z błyszczącymi guzikami. A Mikoła krzyczał:

– Moja krzywda, wasza śmierć!

A wszyscy naokoło milczeli, albo jeszcze przytakiwali, bo stronę Mikoły trzymali, że go żyd oszukał, a żandarm za żydem się ujął. Judka leżał z rozwaloną głową i z dziwnie otwartą gębą, a ten drugi w mundurze, cały we krwi, ruszał się jeszcze, a co się poruszył, Mikoła zawijał dyszlem i walił z całej siły, krzyząc:

– Moja krzywda, wasza śmierć.

I chociaż zaraz przyszło dużo żandarmów, którzy strasznie wygrażali, i po rękach i nogach zakuli Mikołę w łańcuchy, w pamięci Murka pozostał on, jako bohater. Miał wtedy lat sześć, nie więcej, może siedem, ale nigdy w duchu później nie zdobył się na potępienie Mikoły Bacela, gospodarza z Ławrynówki. Już będąc w domu pana Słowińskiego, chodząc do czwartej, czy piątej gimnazjalnej, dowiedział się, że Mikołę wtedy powiesili. Wiadomość ta nie oburzyła go wcale. Tak i należało. Ale Mikoła umierał ze spokojnem sumieniem, bo za swoją krzywdę zapłacił, sprawiedliwość sobie wymierzył...

Byle to zrobić, a potem to już wszystko jedno!...

Murek usiadł na łóżku i wpatrzył się w ciemność. Serce biło mocno i niespokojnie. Wiedział, co mu szumi po głowie. Tak, pragnął odpłaty za swoją krzywdę. Nie kary, nie zemsty,

lecz sprawiedliwej odpłaty. Moja krzywda, wasza śmierć!... Właśnie, i tylko śmierć. Dawny projekt denuncjacji wydał mu się śmieszny i zbyt łagodny. Czuł w sobie konieczność bezpośredniego fizycznego działania. Chwycić za gardło i udusić lub rozbić łeb!...

I nagle zastanowił się: komu?... Przez myśl przesuwały się szybko postacie wojewody, Gąsowskiego, Niewiarowicza, Jelczy, Czakowskiego, sekretarza Więcka, Landy i niewiadomo dlaczego Junoszyca. Dla nich wszystkich rosła w nim nienawiść. Stopniowo coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że jednak od Niewiarowicza przede wszystkim ma prawo zażądać rozrachunku. Gdzieś pod czaszką zaczęło formować się i twardnieć postanowienie.

Ciężko podniósł się z łóżka, nie zapalając lampy, odszukał poomacku kapelusz, naciągnął palto i wyszedł do sionki. Przekręcał właśnie klucz w zamku, gdy sąsiednie drzwi uchyliły się i w kłębie pary, buchającej w mróz z ciepłego wnętrza, stanął pan Żurko, właściciel mieszkania.

– A pan doktor, za przeproszeniem, wychodzi? – zapytał tonem rozczarowania.

– A bo co, panie Żurko?

– Eee... nic. Tak sobie. Myślałem, że pan może nie pogardzi... He... moja stara kazała...

Staruszek zakaszłał w przeciągu i dodał:

– A i prośbę mielibyśmy.

Murek bez słowa wszedł do pokoju, a raczej do schludnie

utrzymanej kuchni. Z sąsiedniej alkowy odrazu przydreptała Żurkowa, przygarbiona, chuda staruszka. Oboje przypominali parę białych, ruchliwych i zaniepokojonych królików. Żyli samotnie. Mieli wprawdzie troje dzieci, lecz dwie córki już dawno wyszły zamąż i mieszkały gdzieś daleko, a syn wyemigrował do Ameryki i tyle o nim wiedzieli, że doszedł do majątku. Do rodziców nie przyjeżdżał, ani znaku życia nie dawał. To też, ile razy staruszkowie zaczepiali Murka, rozmowa wciąż kręciła się koło niewdzięczności dzieci. Nawet nie narzekali na nich. Niczego przecie od nich nie chcieli, broń Boże. Skarżyli się tylko, że przyjdzie im umrzeć, nie doczekawszy się ciepłego słowa od nich. Na komodzie w kolorowych ramkach stały fotografie, nad nimi z niebieskiego wazonu zwieszały się papierowe czerwone kwiaty. Nawet czystość tutaj, nawet białe firaneczki na oknach i doniczki z pelargonjami, wszystko tu było smutne, osierocone, gotowe do pożegnania na zawsze. W starych oczach, między zmarszczkami, wciąż szklily się łzy, nie wiadomo, czy ze smutku, czy ze starości, aż i obcierać ich nie było warto, a może i nie czuli, jak im wysychały na powiekach. Cały dzień krzatali się oboje w swoim mikroskopijnem gospodarstwie, a wieczorami gawędzili wciąż o tem samem, najczęściej pociemku, przez oszczędność, a i dlatego, że nawet przez okulary czytać już przy sztucznem świetle nie mogli.

Murek czuł dla staruszków jakąś bliżej nieokreśloną litość i dlatego, chociaż początkowo wytargował swój pokój za

piętnaście złotych miesięcznie, później dobrowolnie dorzucił jeszcze trzy złote. Dla niego nie był to wielki pieniądz, dla nich stanowiła ta kwota o możliwości takiego luksusu, jak mleko do kawy.

To też, gdy Żurkowa skwapliwie zaczęła nakrywać stół obrusem, Murek stanowczo oświadczył, że za przyjęcie dziękuje. Usadowił się pod oknem i zapytał:

– O cóż chodzi?

– Bardzo wielka przykrość... Ot... na stare lata – zaczęła Żurkowa, lecz mąż przerwał jej:

– Do pana doktora, jako do wykształconego człowieka zwracam się. Może pan da łaskawie jaką radę. Już do żadnej impulsywnej pracy nie nadaję się. Ręce trzęsą się, widzę już słabo. Jeszcze ot, w ogródku tam coś tego i owego, ale żeby tak, to nic. Sam pan doktor widzi. Ale, jak panu wiadomo, służyłem kiedyś kolejowo. Czterdzieści lat, panie, czterdzieści lat. Bywało pogoda nie pogoda, choroba nie choroba, do swojej roboty marsz! I zacóż, pytam się taka krzywda?...

– Jaka krzywda?

– A no, powiadają, że u zaborcy, niby, że u ruskich służyłem. A mójże panie, moja wina? A bo to chciałem akurat u ruskich?

– Polskich to i nie było wtedy – tonem zapewnienia wstawiła staruszka.

– Otóż to – potwierdził. – A oni mi powiadają, że teraz taki przepis wyszedł, że mnie moją emeryturę zmniejszyć trzeba. Ludzie, mówię, opamiętajcie się! Za co?... Czy ja co złego,

uchowaj Boże, zrobiłem?... Nie to, powiadają, ale służba w zaborczych ruskich na mniej liczy się. To, mówię, może i mnie należy się odmłodnieć, żeby z tych czterdziestu lat, co mi potracali na emeryturę, wróciło się?... I jakże to tak?

Staruszek ubawił się własnym dowcipem, klepnął się po kolanie i zerknął na żonę, a ta zaśmiała się cichutko, zakrywając usta ręką.

– I widzi pan doktor, co parę lat zmniejszali. To na oszczędności, to obniżki, a to procenty, a teraz znowu. Powiadają, że od rządu taki przepis wyszedł. Jakże od rządu niesprawiedliwość? Za co? Tak tu siedzimy z moją starą i kalkuluję: jak tu z tego wyżyć? Za mieszkanie płacić trzeba, a i opału nikt darmo nie da. Co jemy, sam pan doktor widzi. Kartofle i kluski. A choćbyśmy tego mięsa, co na niedzielę do posmakowania kupujemy, wyrzekli się jak pokusy piekielnej, to i tak nie wyciągniem.

Tu znowu wtrąciła się staruszka i zaczęła szczegółowo wyliczać pozycje niezbędnych wydatków i zakończyła:

– Lepiej przyszliby i powiedzieli: niema dla was nic więcej, umierajcie!

– Co też opowiadasz – zachichotał jej mąż. – Przecież na koszt pogrzebu nie byłoby. Jeszcze przeklinaliby po śmierci. Tak ot czterdzieści lat pracy... Życie człowiekowi zeszło, a nawet na trumnę sosnową nie starczy... Ale ja myślę – ożywił się nagle – że od pana doktora, jako od urzędowej osoby, i wogóle znającego, jakaś rada nam przyjdzie. Bo my, cóż możemy

zrobić?... Żadnej siły, ani opieki nie mamy. Prawo z nami, po naszej stronie, ale to słaba pociecha. Przez sądy swojego nie dojdziem, a choćby, to na sądy pieniędzy potrzeba. Nikt z nami się nie liczy. Emeryt, to tak, jak ubogi krewny, co się go z łaski utrzymuje, a jak zadługo żyje, to i łaski coraz mniej. – A my, starzy, nikomu już niepotrzebni. Choćby i wszystko nam odebrali, to i tak jesteśmy bezbronni.

Staruszek wyjął chustkę i długo nos wycierał. Murek pomyślał, że mógłby być synem tych dwojga i że to może lepiej, że jest sierotą. I tak zaboląta go ich właśnie bezradność, bezbronność.

Pokiwał głową. Cóż im może poradzić?... Ciężko, bardzo ciężko, ale niech starają się przetrwać. Może przyjdzie poprawa. Teraz takie zarządzenia wyszły. Wszystkim obcinają pobory. Jednym mniej, innym więcej. Nie zawsze sprawiedliwie...

Tu Murek siłą kilkuletniego nawyku poczuł się w jakimś stopniu odpowiedzialny za zarządzenia państwowe, odezwał się w nim obowiązek solidaryzowania się z państwem. Zaczął pouczającym i poważnym tonem wyjaśniać, że rządy też są instytucją ludzką, że osiągnięcie bezwzględnej sprawiedliwości w podziale dochodów i obciążeń, jest bardzo trudne, że kryzys zmusza państwo do rozstrzygnięć nieraz przykrych, a jednostki, które na tem ucierpiały, powinny pogodzić się z nową sytuacją, gdyż dobro całości tego wymaga.

Żurkowie słuchali coraz bardziej onieśmieleni, aż umilkł zawstydzony pustką własnych słów. Jakże inaczej brzmiały, ile

miały głębokiego sensu i niewzruszalnej prawdy wtedy, gdy w nie wierzył.

– Pogodzić się? – lękliwie odezwał się Żurko. – I pewnie muszę się pogodzić, bo cóż zrobić?... Ho, gdybym był młody, jak pan, Ho!...

Murek spojrzał nań z nagłym zainteresowaniem i zapytał półgłosem:

– I cóżby wtedy pan zrobił?

– Wtedy?... Oho! Co tam gadać! Nie zastawiłbym swojej krzywdy nikomu na pamiątkę... Pewno! A potem plunąłbym i poszedł w świat! Dla młodego wszędzie miejsce i kawałek chleba się znajdzie. Prawda, stara?

Staruszka westchnęła i machnęła rękami. Murek zapiął palto, wstał i pożegnał się.

Zaraz za drzwiami uderzył go mocnym porywem lodowaty wiatr. Setki drobnych jak pył śnieżynek wdarły się za kołnierz, siekły w twarz, kłuły w oczy. Pochylił się i szybko szedł pod wiatr. Pod nogami śnieg skrzypiał urywanym metalicznym dźwiękiem. Trzeba było przymknąwszy powieki iść prawie naoślęp. Ulice były puste. Na rogu Poznańskiej i Leśnej ktoś mu się ukłonił. Odpowiedział sięgnięciem ręki do kapelusza. Przejmujący powiew wtargnął do rękawa i poszedł przez plecy. W gęstej zadymce topniały i rozmazywały się światła latarni. We wnęce koło kościoła czerwona lampka żarzyła się pod figurą, oświetlając stopy posągu i rój czerwonych wirujących dokoła gwiazdek.

Za kościołem skręcił wlewo, otworzył furtkę i zadzwonił na ganku. Wysokie ciężkie drzwi uchyliły się, pokojówka w czarnej sukience i w białym haftowanym fartuszkowi powitała go jak starego znajomego. Dawniej często bywał u prezydenta, czy służbowo, czy jako gość.

– O, tak dawno pana doktora nie widziałam! – z przymilnym uśmiechem na pucułowatej twarzy zabrała się do zdejmowania palta. – Proszę tylko usiąść na chwilę, buciki obetrę. Taka zawieja, że strach. Zziął pan doktor?

Spojrzał na jej zalotne oczy, na pogodny uśmiech. Z odległych pokojów, dolatywały śmiechy i piski dzieci. Pozatem jasno tu było, zacisznie i jakoś dziwnie bezpiecznie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.